NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor.—4 Mrk. 25 fen.—1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. —8 Mrk. 50 fen. 3 Rbs. 60 kop. z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop. z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop. W Ameryce: półrocznie 2 dolary 25 cts.— Rocznie 4 dol. 50 cts.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW, Zacisze 7. Tel. 479.

Redaktor naczelny: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.

Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VII. Kraków, 9 lipca 1910. Nr. 28.

Napad Rusinów na uniwersytet.

(Treść na str. 2).



Napad Rusinów na uniwersytet.

Lwowska wszechnica była w ubiegłym tygodniu widownią nowych burd hajdamackich, była widownią scen, których przebieg mrozi krew w żyłach, budzi wstręt do dzikiej tłuszczy, chcącej przelewem krwi, rozbojem z pałkami i rewolwerami w ręku, udowodnić potrzebę założenia uniwersytetu ruskiego.



Fot. M. Münz, Lwów.

Napad Rusinów na uniwersytet: Gmach uniwersytetu lwowskiego, otoczony tłumem publiczności. Przed bramą uniwersytetu karetka pogotowia ratunkowego.

Nie po raz pierwszy chwycili się studenci ruscy tej dzikiej metody walki. Po raz pierwszy atoli przebieg zajść miał tak krwawy charakter, po raz pierwszy padły w murach uniwersytetu strzały i po raz pierwszy ofiarą awantur padło życie ludzkie. Od kuli rewolwerowej własnych kolegów, zginął jeden z prowodyrów ukraińskiej młodzieży, Adam Kocko.

Zajścia piątkowe na uniwersytecie lwowskim rzucają bardzo smutne światło na poziom etyki wśród ruskiej młodzieży i wśród ruskiego społeczeństwa. Potworny był ów barbarzyński napad na świątynię nauki, potworne zbeszczeszczenie miejsca, poświęco-



Napad Rusinów na uniwersytet: Prof. dr. Kolessa, poseł do Rady państwa.

nego poważnej, spokojnej pracy, ale jeszcze potworniejsze to, iż winowajcy nietylko usiłują wyprzeć się swoich czynów, ale mają czelność zarzucać polskiej młodzieży, iż to ona ich sprowokowała, a nawet że pierwsza poczęła strzelać z rewolwerów.

Jest to najoczywistsze kłamstwo, które też śledztwo, przeprowadzone natychmiast po krwawych zajściach, w sposób kategoryczny zdemaskowało. W śledztwie tem ustalono ponad wszelką wątpliwość, iż studenci ukraińscy zebrali się w piątek rano w gmachu uniwersyteckim i odbyli tam wbrew zakazowi rektoratu nielegalny wiec. Po uchwaleniu rezolucyi, utrzymanej w bardzo ostrym tonie, ruszyli hajdamacy na korytarze, z widocznym zamiarem napadu na rektorat. Garstka młodzieży polskiej, uprzedzona w ostatniej chwili o zamiarach ruskich studentów, zabarykadowała przy pomocy służby część korytarza, prowadzącego do biura rektoratu, aby demonstrantów tam niedopuścić. Wówczas Rusini rzucili się na owe barykady i stamtąd poczęli rzucać ku młodzieży polskiej polanami, raniąc dotkliwie kilku z młodzieży i ze służby, równocześnie zaś dali szereg strzałów z przyniesionych rewolwerów. Jeden z pierwszych strzałów ugodził w czoło ich przywódcę, Adama Kockę, który w krytycznej chwili stał na barykadzie i odwrócił się do swych kolegów, wzywając ich do ataku.

Na odgłos strzałów wkroczyła do gmachu uniwersyteckiego policya, która była uprzedzona o planowanym napadzie Rusinów i od rana znajdowała się w znacznej liczbie tuż koło uniwersytetu. Wkroczenie policyi położyło kres zaciętej walce. Zamknięto natychmiast bramy gmachu, aby nikt nie mógł wyjść na ulicę, poczem komisarz policyi Tauer aresztował wszystkich obecnych w uniwersytecie studentów ruskich, zamykając ich pod strażą żołnierzy policyjnych w kilku salach. Zaraz potem rozpoczęto śledztwo, które prowadził sędzia śledczy radca Rybicki; przybyli do gmachu również prezydent sądu karnego Miłaszewski, prokurator państwa Barth i dyrektor policyi dr. Reinlender.

Tymczasem wieść o napadzie ruskich studentów na wszechnicę rozeszła się po mieście, budząc wszędzie niesłychane oburzenie przeciw hajdamakom i ich prowodyrom. Tłumy publiczności zaległy wnet ulicę św. Mikołaja, przy której leży uniwersytet, oczekując z niecierpliwością bliższych wiadomości o krwawych zajściach. Do gmachu oczywiście policya nikogo nie wpuszczała.

Aresztowanych studentów przesłuchiwano po kolei, poczem odwożono ich do więzienia w sądzie karnym. Przesłuchano również służbę uniwersytetu i studentów polskich w charakterze świadków. Zgodne zeznania świadków oraz zbadanie miejsca wypadków udowodniły, iż atakującą stroną byli studenci ruscy i że tylko oni strzelali. Przy kilku aresztowanych znaleziono nabite rewolwery, nadto w salach, gdzie



Napad Rusinów na uniwersytet: Prof. dr. Stanisław Dniestrzański, poseł do Rady państwa.

Rusini byli internowani, porzucili oni mnóstwo broni, mianowicie rewolwery, brauningi, toporki, kastety, grube pałki i t. p.

Aresztowano ogółem 127 osób narodowości ruskiej, w tem siedm nie mających nic wspólnego z uniwersytetem. W czasie przesłuchania odmówili wszyscy zeznań, oświadczając, iż odpowiadać będą dopiero w sądzie.

Krwawo zakończony napad ruskich studentów na uniwersytet, wywołał w całym kraju niesłychane oburzenie przeciw sprawcom a przedewszystkiem przeciw tym, którzy osłonięci nietykalnością poselską, jątrzą młodzież ruską i pchają ją na drogę zbrodniczych postępków. Tymi moralnymi sprawcami



Fot. M. Münz, Lwów.

Napad Rusinów na uniwersytet: Publiczność, zebrana tłumnie w ul. św. Mikołaja we Lwowie.



Fot. M. Münz, Lwów.

Napad Rusinów na uniwersytet: Przewożenie aresztowanych studentów do gmachu sądu karnego.



Napad Rusinów na uniwersytet: Zabity przez studentów ruskich Adam Kocko (w mundurku gimnazyalnym).

ohydnej burdy są profesorowie uniwersytetu lwowskiego i posłowie do rady państwa dr. Dniestrzański i dr. Kolessa. Pierwszy z nich przed dwoma tygodniami zapowiedział w mowie swej, wygłoszonej na posiedzeniu Izby posłów, krwawe rozruchy, drugi przyjeżdżał kilkakrotnie do Lwowa i konferował poufnie ze studentami ruskimi. Nic dziwnego, że młodzież ruska, mając takich nauczycieli i takich przywódców, dziczeje coraz bardziej i staje się zakałą cywilizowanego świata.

Ofiarą hajdamackiego napadu padło ogółem 9 osób, z tych jedna, student Adam Kocko, zmarł w kilka godzin skutkiem rany w głowę, inni zaś odnieśli cięższe lub lżejsze rany bądź od kul rewolwerowych, bądź od pałek i polan.

Pogrzeb zamordowanego przez kolegów Kocki odbył się w poniedziałek popołudniu przy udziale kilku tysięcy Rusinów. Spokoju niezakłócono, gdyż policya i wojsko było skonsygnowane w tak znacznej liczbie, iż wszelkie próby zaburzenia porządku musiałyby były spełznąć na niczem.



Fot. M. Münz, Lwów.

Napad Rusinów na uniwersytet: Publiczność, demonstrująca przeciw aresztowanym sprawcom napadu, w chwili odstawiania ich do gmachu sądu karnego.

Przeniesienie dzielnego starosty.

Obywatelstwo, mieszczanie i ludność wiejska w powiecie horodeńskim żegnała niedawno z prawdziwym żalem szefa powiatowej administracyi, starostę Tadeusza Piątkiewicza, który po dwuletnim niespełna pobycie w tem mieście został przeniesiony na inny posterunek, a mianowicie do Drohobycza.



Fot. Morawetz, Horodenka.

Przeniesienie dzielnego starosty: Starosta Piątkiewicz w otoczeniu podwładnych urzędników.

I w tym jednak, krótkim stosunkowo, okresie czasu potrafił starosta Piątkiewicz dokonać bardzo wiele i dla miasta Horodenki i dla całego powiatu, potrafił też zdobyć sobie niepodzielną sympatyę ogółu ludności tamtejszej, wszystkich sfer, bez względu na narodowość i wyznanie.

Urzędnik, obdarzony niezwykle wybitnemi zdolnościami administracyjnemi, człowiek w pełni sił, energiczny i pełen inicyatywy, przytem wielce taktowny, nadawał się znakomicie na trudny posterunek starosty powiatu o ludności mięszanej, zwłaszcza obecnie, w czasach tak powszechnego roznamiętnienia narodowościowego.

Doniosłem dziełem, dokonanem przez starostę Piątkiewicza, jest też odrestaurowanie zaniedbanego budynku starostwa, budynku poklasztornego, zbudowanego jeszcze w połowie XVIII. w. przez Mikołaja Potockiego, starostę kaniowskiego, mimo to trwałego jeszcze i mogącego po odnowieniu służyć długie lata.

Wiadomość o powołaniu starosty Piątkiewicza do Drohobycza powitano w całym powiecie z uczuciami szczerego żalu. Wyrazem tego było uroczyste pożegnanie odjeżdżającego starosty przez wszystkich naczelników gmin powiatu z dwoma posłami Teodorowiczem i Leszkiem Cieńskim na czele. Także podwładni urzędnicy p. Piątkiewicza rozstawali się z nim z prawdziwą przykrością. Grupę tych urzędników wraz z starostą Piątkiewiczem przedstawia nasza rycina.

Poświęcenie kaplicy zakładowej w Swoszowicach.

Zaniedbane dotąd zdrojowisko w Swoszowicach podnosi się coraz bardziej w ostatnich czasach; zwłaszcza od chwili objęcia kierownictwa przez obecnego dzierżawcę, znanego krakowskiego lekarza, dr. Józefa Zanietowskiego, postęp widoczny jest na każdym kroku. Mieszkania i łazienki odnowione gruntownie, zaprowadzono nadto prócz kąpieli siarczanych, mułowe, elektryczne, parowe i hydropatyczne. Woda swoszowicka nie ustępuje wcale zagranicznym o podobnym składzie chemicznym, owszem o wiele je pod względem skuteczności przewyższa, spodziewać się więc należy, że zakład swoszowicki pod umiejętnem obecnem kierownictwem zajmie to miejsce, jakie mu się słusznie należy.

Dotychczas dawał się bardzo odczuwać brak zakładowej kaplicy, w którejby bawiący tu duchowni mogli odprawiać msze święte. Istniała wprawdzie niegdyś kaplica w willi „pod Matką Boską“, posiadająca nawet aparaty kościelne, konsekrowane jeszcze przez ś. p. biskupa Krasińskiego, od wielu lat jednak była zamknięta. Dopiero w ubiegłym tygodniu, dzięki staraniom dra Zanietowskiego, pozwolił ją na nowo otworzyć książęco-biskupi konsystorz, a uroczyste poświęcenie odbyło się wobec licznych przedstawicieli duchowieństwa, świeckich kuracyuszów i tłumów pobożnych z okolicy.

Illustracya nasza przedstawia zdjęcie fotograficzne duchowieństwa i uczestników poświęcenia, zebranych przed willą, w której się mieści kaplica.



Arcyksiążę Leopold Salwator w Przemyślu: Arcyksiążę, dosiadający konia przed udaniem się na ćwiczenia.



Arcyksiążę Leopold Salwator w Przemyślu: Przyjęcie arcyksięcia (X) na dworcu przemyskim przez reprezentantów władz i wojskowości. Fot. M. Todt, Przemyśl.

Arcyksiążę Leopold Salwator w Przemyślu.

W dniu 30 czerwca b. r. przybył do Przemyśla generalny inspektor artyleryi austryackiej, arcyksiążę Leopold Salwator. Według programu podróży zabawi dostojny gość w Przemyślu ośm dni celem inspekcyi tamtejszej załogi, głównie artyleryi. Arcyksiążę zrzekł się przepisanej parady na dworcu kolejowym, dlatego oczekiwali nań tylko: komendant dziesiątego korpusu, generał von Kümmer z generalicyą i przedstawiciele władz rządowych i autonomicznych. Publiczność, której zgromadziła się spora liczba, zgotowała arcyksięciu, cieszącemu się wielką sympatyą w najszerszych kołach społeczeństwa, serdeczne powitanie.

Przez cały tydzień odbywa arcyksiążę wycieczki w różne strony, gdzie bierze udział w ćwiczeniach artyleryi, zwiedza ponadto osobliwości miasta i okolicy. Arcyksięciu towarzyszy orszak, złożony z kilku oficerów.

W dniu 4 lipca wyruszył arcyksiążę na zaproszenie księcia Sapiehy do Krasiczyna, gdzie odbyło się polowanie, urządzone specyalnie na jego cześć. W polowaniu wzięło udział wiele osób z okolicznej arystokracyi i kilkunastu oficerów z Przemyśla.

Illustracye nasze przedstawiają powitanie arcyksięcia na dworcu kolejowym w Przemyślu oraz chwilę dosiadania konia przed wyjazdem na wycieczkę.

Otwarcie nowego gmachu Izby handlowej i przemysłowej we Lwowie.

Lwowska Izba handlowa i przemysłowa wzniosła przy ul. Akademickiej ogromny, wspaniały gmach własny, na pomieszczenie swoich biur oraz innych pokrewnych instytucyi. Gmach ten, ukończony z wiosną b. r., został w ubiegłą niedzielę uroczyście otwarty w obecności ministra Galicyi dra Dulęby, ministra handlu dra Weisskirchnera, namiestnika dra Bobrzyńskiego, marszałka hr. Badeniego, prezydyum miasta, posłów, rady miejskiej, dalej delegatów innych Izb handlowych, delegatów instytucyi przemysłowych i handlowych i t. d.

Uroczystość odbyła się w wielkiej sali posiedzeń na I. piętrze nowego gmachu. Zagaił zebranie prezydent Izby Horowitz, kreśląc w krótkości dzieje lwowskiej Izby i podnosząc zasługi jej około rozbudzenia ruchu handlowego i przemysłowego w kraju. Następnie przemawiał imieniem rządu minister handlu dr. Weisskirchner, na czem zakończyła się oficyalna część uroczystości.

O godzinie 2 popołudniu podejmował ministrów, urzędników ministeryalnych i wybitniejszych reprezentantów Izb handlowych namiestnik dr. Bobrzyński śniadaniem, reszta zaś gości zebrała się na śniadanie w restauracyi ogrodu miejskiego. Po zwiedzeniu miasta, zebrali się uczestnicy uroczystości wieczór w salach połączonego z gmachem Izby handlowej instytutu technologicznego, gdzie odbył się wspaniały bankiet na cześć gości. Zebranie trwało prawie do rana.



Powódź w Szwajcaryi: Jeden z placów w Lucernie, zalany wodą. (Do art. na str. 10)

Maurice Leblanc.

TAJEMNICZE DOKUMENTY.

9 (Ciąg dalszy).

— Ach! już wiem!... — zawołała mała Herminia — teraz sobie przypominam... Oni mówili o niej „stara“... tak, tak... mówili: „stara mnie uprzedziła“...

Genowefa szepnęła zamyślona:

— „Stara“... Któż to może być?... Babuniu, czy ty czasem nie wiesz?... W naszem otoczeniu niema starych kobiet... Czyżby krawcowa?... nie, to niepodobna...

Po chwili namysłu, nie rozumiejąc, powstała.

— Późno już, moje dziecko, twoja siostra pewnie czeka... Nie mów jej nic. Ani twojemu bratu, Juliuszowi, nie mów. Powiedz mi, twój brat jest mechanikiem w Paryżu? Czy tak?

— Tak, proszę pani — ale chwilowo jest u nas w Marnes.

— Pójdę zobaczyć się z nim jutro rano... Ale broń Boże nie mów mu o tem... I bądź spokojna, ja mu nic o tem nie powiem.

Poszła ku drzwiom.

— Genowefo! — zawoła pani Ernemont.

— Słucham, babuniu.

— Otóż chcę ci powiedzieć, że to szwaczka niewątpliwie.

— Myślisz? Pomówimy o tem za chwilę... Panie — zwróciła się do księcia — pan nie lubi podziękowań. Ale czy przynajmniej pozwoli mi pan okazać sobie moją wdzięczność i zajdzie pan do nas kiedy?

Książę Sernin obiecał, że przyjdzie następnego dnia wieczorem o tej samej godzinie, co dziś. Genowefa wyszła, odprowadzając małą. Staruszka stała jeszcze chwilę, chwiejąc się cała; twarz jej się kurczyła i drgała. Aż nagle skoczyła do księcia, chwyciła go za ramiona i wybełkotała wśród łkania.

— To okropne... to szkaradne... to niegodne, to, co ty mi robić każesz!... Przecież ja jestem porządna, uczciwa kobieta!... Ach, jak ty możesz, jak możesz!... Czy ty wcale nie masz serca?

IV.

Spokojnie, bez wszelkiej szorstkości, książę Sernin odjął jedną po drugiej ręce, które go trzymały i sam z kolei pochwycił staruszkę za ramiona, posadził ją w fotelu, nachylił się ku niej i najspokojniejszym w świecie głosem rzekł:

— Moja broda!

Staruszka usiłowała uwolnić się.

— Tak, tak... okropne!... szkaradne!... Gdybyś ty ją tak znał, jak ja! Anioł dobroci!... Drugiej takiej wprost na świecie niema!... Czyż ty doprawdy nie masz serca ani trochę? Zastanówżeż się...

— Już dawno się zastanowiłem.

— No i co?

— To, że mnie nudzisz!

I wziąwszy kapelusz wyszedł, zostawiając panią Ernemont jęczącą w swoim fotelu.

. . . .

Książę Sernin wsiadł do swego automobilu, czekającego na gościńcu.

— Palace-Hotel — rozkazał szoferowi. — Jedź czwartą szybkością.

W kwadrans później maszyna stanęła przed bramą hotelu. Trzy osoby czekały na księcia w pokoju, który zajął nazajutrz po spełnionem morderstwie na osobie Kesselbacha. Był to jeden z tych pokoi na pierwszym piętrze, przed drzwiami których znaleziono zwłoki Chapmana.

— Prędko — rzekł, wchodząc i widząc te trzy osoby — spieszmy się, bo nie mam czasu. Varnier, czyście z Juliuszem zabrali maszynę z drogi?

— Zabraliśmy, wodzu, i odprowadziliśmy ją do garażu.

— A gdzie jest Juliusz?

— Wrócił do domu.

— Więc niechżeż się z domu wyniesie na jakie dwa tygodnie.

— Jaką mam mu podać przyczynę?

— Żadnej mu nie potrzebujesz podawać. Powiedz mu tylko i sam sobie powiedz, że jeżeli będziecie chcieli rozmawiać, to na inny raz wybierzcie bezpieczniejsze miejsce, nie pokój jego siostrzyczki. Ach, jeszcze słówko... Porwanie bardzo dobrze urządziliście... Panie nie podejrzewają niczego... Szczerze wam powinszować mogę!

— Ach, wodzu, pochwała z ust pnńskich!... A przytem... cóż to za radość, żeśmy znów pana odnaleźli i że znów możemy pracować pod pańskimi rozkazami!

— Umykaj, mój chłopcze! Spiesz się!

I zwrócił się do dwóch drugich czekających osób:

— Chwileczkę — zaraz wracam.

Trącił cztery razy palcem w drzwi sąsiedniego pokoju. Drzwi się otworzyły. W pokoju tym znajdowali się dwaj młodzieńcy, ubrani z trochę wyszukaną elegancyą, o żywych oczach i sympatycznym wyrazie.

— Jak się macie, bracia Dondeville. Cóż nowego słychać w prefekturze?

— Niewiele nowego, wodzu.

— Pan Lenormand ma zawsze do was pełne zaufanie?

— Zawsze. Po Gourel'u my jesteśmy jego ulubionymi inspektorami. Najlepszy dowód, że umieścił nas w Palace-Hotel i zlecił nam czuwanie nad osobami, które mieszkały na tym korytarzu w chwili morderstwa Chapmana. Co rano Gourel przychodzi i my mu składamy ten sam raport, co i panu.

— Doskonale! Grunt w tem, żebym ja wiedział o wszystkiem, co się robi i co się myśli w prefekturze. Dopóki Lenormand będzie w was widział swoich ludzi, jestem panem położenia. A w hotelu nie wpadliście czasem na jaki trop?

Jan Dondeville, starszy, odpowiedział:

— Angielka ta, która mieszkała naprzeciw obecnie pańskiego pokoju po drugiej stronie korytarza, ta Angielka wyjechała.

— Ta mnie nie obchodzi. Mam moje wiadomości. Ale jej sąsiad, major Parbury?

Bracia wyglądali zakłopotani. Wreszcie jeden z nich odpowiedział:

— Dziś rano major Parbury kazał przenieść swoje rzeczy na dworzec północny na pociąg, wychodzący 12·50, a sam wyjechał automobilem. Byliśmy przy odejściu pociągu. Major się nie pokazał.

— A rzeczy jego?

— Kazał je zabrać z kolei.

— Komu kazał?

— Komisyonerowi.

— To znaczy, że ślad jego zgubiony?

— A właśnie!

— Nareszcie! — zawołał radośnie książę.

Tamci spojrzeli na niego zdziwieni.

— Ależ tak! — rzekł — odkąd jesteście w tym hotelu, mając na oku ludzi, mieszkających na tem piętrze, nie odkryliście nic. A oto jest wskazówka!

— Tak pan myśli?

— Oczywiście. Zabójstwo Chapmana mogło być dokonanem tylko w jednym z pokoi tego korytarza. Tam to, do swego wspólnika, morderca pana Kesselbacha zaprowadził sekretarza, tam to go zabił, tam się przebrał; i wspólnik też, gdy się morderca oddalił, złożył ciało w korytarzu. Ale kim jest ten wspólnik? To, że major w ten sposób zniknął, wskazywałoby, że on nie jest obcym tej sprawie. Prędko, zatelefonujcie tę dobrą wiadomość panu Lenormand lub Gourel'owi. Trzeba, aby w prefekturze coprędzej wiedziano.

Dał im jeszcze kilka poleceń, dotyczących podwójnej roli inspektorów policyi w służbie księcia Sernina i wrócił do swego pokoju. Dwaj drudzy czekali tam wciąż jeszcze.

— Bardzo pana przepraszam, doktorze — rzekł do jednego z nich. — Teraz panu służę. Jak się miewa Piotr Leduc?

— Umarł!

— O! Spodziewałem się tego, po tem, co pan mówiłeś dziś rano. A jednak biedaczysko prędko się zawinął.

— Wyczerpany był doszczętnie. Jeden atak i po wszystkiem.

— Czy nic nie powiedział?

— Nic.

— Czy jesteś pewien, że od chwili, gdy wyrwałem go z rąk Lenormanda, ażeby go oddać w twoje ręce, nikt w klinice twej nie domyślał się, że on jest tym tajemniczym Leduc, którego policya szuka, którego pan Kesselbach szukał także, a którego ja odebrałem Lenormand'owi?

— Nikt absolutnie nie wpadł na tę myśl. Zajmował osobny pokój. Poza tem zbandażowałem mu lewą rękę, ażeby nikt nie mógł dojrzeć blizny na małym palcu. Co zaś do blizny na policzku, ta jest niewidoczną pod zarostem.

— I ty sam nad nim czuwałeś?

— Ja sam. I wedle pańskich wskazówek, korzystałem z każdej chwili, gdy tylko zdawał się przytomniejszym i wypytywałem go. Ale oprócz niewyraźnego bełkotu, niczego z niego nie mogłem wydobyć.

Książę szepnął w zamyśleniu:

— Nie żyje już... Piotr Leduc nie żyje... Cała sprawa Kesselbacha opierała się oczywiście na nim, a oto zniknął bez jednego objaśnienia, bez jednego słowa o sobie i swojej przeszłości... Mamżeż się rzucać w tę sprawę, o której dziś jeszcze nic nie wiem? To niebezpiecznie... mogę zatonąć...

Zastanawiał się przez chwilę, aż wkońcu zawołał:

— Niechaj się dzieje, co chce, a ja pójdę naprzód. Śmierć Piotra Leduc to jeszcze nie powód, ażebym miał porzucać grę. Przeciwnie! Przeciwnie! Sposobność tem więcej nęci. Piotr Leduc umarł — niech żyje Piotr Leduc! Idź, doktorze. Wracaj do domu. Jutro do ciebie zatelefonuję.

Doktór wyszedł.

— A teraz ty, Filipie — zwrócił się Sernin do pozostałego gościa, małego siwowłosego człowieka, w ubraniu garsona hotelowego, ale jakiegoś dziesięciorzędnego hotelu.

— Wodzu — zaczął Filip — przypominam, że przeszłego tygodnia kazał mi pan przyjąć miejsce służącego w hotelu „Dwóch Cesarzy“ w Versailles i mieć tam nadzór nad pewnym młodym człowiekiem.

— Tak, tak, wiem... nad Gerardem Beaupré. I cóż z nim słychać?

— Jest już zupełnie bez środków do życia.

— I nosi się ciągle z posępnymi zamiarami?

— Ciągle. Chce sobie życie odebrać.

— Czy ty myślisz, że to jest zamiar poważny?

— Bardzo poważny. Znalazłem w jego papierach tę małą notatkę ołówkiem.

— Tak więc — rzekł Sernin, odczytując kartkę — zapowiada swoją śmierć... i miałoby się to stać jutro wieczór!

— Tak, wodzu, sznur już kupił i hak wkręcił w sufit. To też, podług rozkazów pańskich, wszedłem z nim w stosunki, a on mi o swojem rozpaczliwem położeniu opowiedział. Poradziłem mu, żeby się do pana zwrócił. „Książę Sernin jest bogaty“— powiedziałem mu — „i hojny jest; może onby panu pomógł“.

— Doskonale. To znaczy, że ten Gerard przyjdzie?

— Dziś wieczór.

— Skąd to wiesz?

— Śledziłem go. Wsiadł do pociągu, idącego do Paryża, a teraz tam i z powrotem chodzi po ulicy. Lada chwila zdecyduje się wejść.

W tej samej chwili odezwał się dzwonek telefonu. Z biura na dole dawano znać, że jakiś pan Gerard Beaupré pragnie się widzieć z księciem Serninem.

— Niech wejdzie — odpowiedział książe.

Zwracając się zaś do Filipa, dodał:

— Ty zaś przejdź do ubieralni i siedź tam cicho.

Zostawszy bez świadka, książę Sernin szepnął:

— Jakżeż się tu wahać? Sam los mi go przysyła, tego tam...

W parę minut później wszedł do pokoju wysoki młodzieniec, szczupły blondyn, o twarzy wychudzonej i gorączkowym wzroku. Zakłopotany stanął w progu, wahając się — jak żebrak, który chciałby rękę wyciągnąć, a nie śmie.

Krótko trwała rozmowa.

— Pan Gerard Beaupré?

— Tak... tak, to ja.

— Nie mam zaszczytu znać pana.

— Bo to... proszę... bo mi mówiono...

— Kto taki?

— Służący hotelowy... który mówił, że służył u pana.

— Mów pan krótko — o co chodzi?

— Bo to...

Młody człowiek umilkł onieśmielony, zmieszany dumną i wzgardliwą miną księcia. Sernin zawołał:

— Ależ, mój panie, mówżeż, o co chodzi?

— Bo to, proszę pana... mówiono mi, że pan jest bardzo bogaty... i bardzo wspaniałomyślny... i wyobraziłem sobie, że pan może zechce...

Przerwał, niezdolny wykrztusić słowa prośby i upokorzenia.

Sernin zbliżył się do niego.

— Panie Gerardzie Beaupré, czy to pan wydałeś tomik poezyi, zatytułowany „Wspomnienie wiosny“?

— Tak, to ja — zawołał młodzieniec i twarz mu się rozjaśniła. — To pan czytał te moje poezye?

— Czytałem... Bardzo ładne, te wiersze pańskie, nawet bardzo ładne... przyznaję... Tylko, czy pan myśli, że pan wyżyje z tego, co one panu przyniosą?

— Z pewnością, z czasem... prędzej czy później...

— Tak, z czasem, zapewne... ale tymczasem przychodzisz pan do mnie, bo nie masz z czego żyć, nieprawdaż?

Gerard Beaupré zarumienił się silnie i pochylił głowę.

— Bo nie mam co jeść, panie — szepnął.

Sernin położył mu rękę na ramieniu i odrzekł chłodno:

— Poeci nie jadają, mój panie. Oni się żywią rymami i marzeniem. Niech i pan tak robi. To znacznie lepiej, niż wyciągać rękę.

Młody człowiek zadrżał, dotknięty obelgą i poszedł ku drzwiom, nie mówiąc ani słowa.

Sernin go zatrzymał.

— Jeszcze jedno słowo 'mój panie. Czy nie masz pan żadnych środków?

— Żadnych... najmniejszych.

— I na nic pan liczyć nie możesz?

— Mam jeszcze ostatnią nadzieję... Napisałem do jednego z moich krewnych, błagając, by mi co przysłał. Jutro rano będę miał jego odpowiedź. To ostateczny termin.

— A jeżeli nie dostaniesz pan odpowiedzi, jesteś pan zapewne, zdecydowany tegoż samego wieczora...

— Tak, panie.

Powiedział to z prostotą i stanowczością.

Sernin wybuchnął śmiechem.

— Boże! jakiżeś pan zabawny, mój dzielny młodzieńcze! I jakież szczere przekonanie w panu! Przyjdź mnie pan odwiedzić za rok — czy zgoda? Pomówimy o tem wszystkiem. To takie ciekawe i interesujące, a przedewszystkiem tak zabawne! Ha! ha! ha!

I śmiejąc się do rozpuku, z przesadą w gestach i w ukłonach, wyrzucił go za drzwi.

— Filipie — przemówił do garsona hotelowego, otworzywszy drzwi ubieralni — czy ty słyszałeś.

— Słyszałem wszystko.

— Gerard Beaupré spodziewa się jutro rano listu, zasiłku...

— Tak — to jego ostatnia deska ratunku.

— Tego listu on nie powinien otrzymać. Gdyby miał przyjść przyjmij go i zniszcz.

— Dobrze wodzu.

— Sam jeden ze służby jesteś w twoim hotelu?

— Tak, jestem ja tylko, kucharka, która sypia za domem i gospodarz, pan Gossard.

— Wiem, wiem. Już się wywiedziałem. Rodzina p. Gossarda mieszka w Barcelonnete. Otóż jutro pan Gossard otrzyma telegraficzną wiadomość z Barcelonnette, że ojciec jego jest śmiertelnie chory. Tym sposobem przez przeciąg trzech dni będziemy się mogli rządzić w hotelu, jak w własnym domu.

— To świetnie! Ach wodzu, jeszcze jedno pytanie, niech mnie pan uspokoi! Pan wie, że byłem przyjacielem Marka i Hieronima. Czy to prawda, że pan ma wykraść ich z więzienia?

— Prawda najzupełniejsza.

— I kiedy to, mianowicie?

— Jakto, kiedy? Czyż nie oznaczyłem piątku 31 maja? Ja mam tylko jedno słowo.

— Tak, że Marek i Hieronim będą wolni?

— W piątek 31 maja. Możesz na ich cześć przygotować śniadanie z szampanem.

Rozdział IV.

Piotr Leduc umarł, niech żyje Piotr Leduc!

Mrok ogarniał pola. Kształty przedmiotów zacierały się powoli i tylko sylwety wielkich drzew rysowały się na tle ciemniejącego coraz bardziej nieba.

Gęste ciemności zalegały na drodze, prowadzącej do szkoły Genowefy.

Mężczyzna jakiś zapuścił się powoli na ścieżkę, po jakimś czasie przystanął i szepnął:

— Czy ty tu jesteś?

— Jestem — odpowiedział głos, idący z jednej z najciemniejszych kryjówek. — Lecz skąd ty to

— Powiedziano mi w mieście.

— Ach, byłeś tam?

— Byłem. Chciałem zobaczyć, jak daleko zaszedł podziemny ganek.

— Czy się posuwa?

— Znakomicie. Ci włoscy robotnicy pracują, jak krety. Za dwa dni dojdziemy do piwnic trzeciego pawilonu, pawilonu Hortensyi, w samym środku ogrodu Zacisza.

— Żeby tylko nie odkryli...

— To niepodobna. A zresztą mam doskonały pomysł... urządzi się wszystko po temu, by módz zalać tunel w razie potrzeby. Gdyby się tam komu zachciało wejść, żywby nie wyszedł.

— A zresztą co?

— Zresztą?

— Tak, czy jesteś powiadomiony?

— Ach, prawda... otóż...

— Za głośno mówisz. Przyjdź bliżej... Nachyl się... a zatem, jakie masz wiadomości?

— Bardzo poważne. Paweł Sernin mieszka w Palace-Hotel'u, naprzeciw tego pokoju na pier-



Panie — zwróciła się do księcia — pan nie lubi podziękowań

wszem piętrze, który ja zajmowałem. Zamieszkał tam zaraz nazajutrz po wypadku z Kesselbachem.

— O, jeśli tak, to on tam pewnie przybył w umyślnym celu. A któż to jest, ten książę?

— Prawdziwy książę, zdaje się, znany w ambasadzie, członek dwóch wielkich klubów...

— Być może, ale on mnie niepokoi. Poco on wchodzi w naszą grę? Ej, gdyby się tylko ośmielił... A o Piotrze Leduc ciągle brak wiadomości?

— Niema żadnych. Lupin go dobrze schował.

— Otóż to jeszcze jeden, który się miesza do nieswoich rzeczy. Na złe mu to wyjdzie. Ale zobaczymy później. W danej chwili niepokoi mnie ten książę.

— Na co tu czekasz?

— Pilnuję szkoły. Książę tam był wczoraj wieczorem, zaraz po tem porwaniu. Wedle moich informacyi ma tam być i dziś znowu.

Przybyły szepnął:

— Że miluchna, to miluchna, ta Genowefa!

— Ot, nie gadałbyś głupstw, wiesz co! Z wszystkiemi twemi babskiemi historyami ty jeszcze możesz nas zgubić!

— Dlaczego? Z tej strony nie grozi niebezpieczeństwo.

— Owszem, właśnie że tak. Są tu rzeczy dla mnie niewyraźne.

Długie milczenie zapanowało między nimi. Nasłuchiwali głosów z pól, głosów bliższych i głosów niepewnych, odległych, mogących zwiastować niebezpieczeństwo.

Nagle drugi z pomiędzy nich zadrżał i rzekł:

— Co ty trzymasz w ręku? Nie, to niepodobna!

— Właśnie, że tak.

— Twój sztylet?

— Tak.

— O księciu myślisz?

— O nim.

— Ależ to już szaleństwo. I tego jeszcze? Na co? Czy masz ku temu jaką przyczynę?

— Naturalnie, mieć muszę.

— Jakąż mianowicie?

— Sernin i Lupin — to jedno i to samo.

— Hę? Co ty mówisz?

— To prawda, którą odkryłem. Na imię mu Paweł, nieprawdaż?

— Tak jest.

— A więc uważaj: Paul Sernine, Arsene Lupin — tu i tam wchodzą te same litery. Paul Sernine, to anagram Arsena Lupin.

— A w istocie... jednakże majster z ciebie, że to odkryłeś.

— I on ośmiela się nosić to imię?

— O, czegoby ten nie śmiał! Dlatego też jego przedewszystkiem obawiać się należy. A jeżeli się jego teraz nie uprzątnie, przekonasz się, że on nas zdusi.

— A więc?

— A więc ja uderzę!

Zwięzłe a straszne było to powiedzenie. Tamten zadrżał tylko i umilkł.

Z dziesięć minut upłynęło może.

Potem dał się słyszeć zdala turkot automobilu, zbliżył się nagle i ustał.

— To on — odezwał się pierwszy — oto jest... Wysiada.. Trzymaj mnie za rękę. W chwili, gdy ci rękę ścisnę, wpadnij mu pod nogi, tak, żeby się przewrócił.

— A ty?

— Ja uderzę. Cicho.

Ktoś szybko się zbliżał. Widać było światełko żarzącego się cygara. To podnosiło się, to opadało, a głos nucił jakąś wesołą arietkę.

Sylwetka idącego zarysowała się o kilka kroków od cienistej kryjówki czyhających.

Minęła ich.

— No i... — rzekł drugi z nich — i nie dałeś mi sygnału?

— A no nie.

— Dla czego?

— Gdyż wolę wpierw się przekonać, co on tu będzie robił i może uda się podsłuchać, co mówić będzie. Zostań tutaj. Ja do ciebie wrócę. On musi tędy przechodzić. A wtenczas ja...

. . . .

W dwie minuty później książę Sernin, doszedłszy do końca ścieżki i obszedłszy płot, zaszedł od tyłu do szkoły, aż do samej furtki.

Otworzył furtkę, przeszedł przez ogród i wszedł do małego saloniku, który służył za rozmównicę.

— No i cóż, stara — rzekł — tak się tu do was wchodzi, jak do siebie?

Pani Ernemont zerwała się, spostrzegła księcia i skoczyła ku niemu.

— Ty! Ty znowu! Otóż ja nie chcę, ja mam tego dosyć. Przyprowadziłeś mi niegdyś tę małą i powierzyłeś mi ją z temi słowy: „Bierz ją — powierzam ją tobie... rodzice jej nie żyją... weź ją i opiekuj się nią“. Dobrze więc, ona jest pod moją opieką, a ja potrafię obronić ją przed tobą i temi twojemi machinacyami.

Książę ani się poruszył.

— Ależ ty tego nie pojmujesz, nieszczęśliwcze, że gdyby ona odgadła prawdę, wtedy ja jestem zgubiona. Wypędziłaby mnie od siebie!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Nowy wicekról Indyi.

Jedną z najwyższych godności urzędniczych w Anglii jest stanowisko wicekróla Indyi. Z powodu wielkiego naprężenia stosunków między rządem angielskim a ludnością Indyi, stanowisko to należy też do najtrudniejszych, a wicekról Indyi musi być mężem,



Nowy wicekról Indyi: Charles Hardinge.

obdarzonym niepospolitym taktem i zdolnościami dyplomatycznemi, aby wybrnąć z rozmaitych trudności. Godność tę piastował do niedawna Carl of Minto, jeden z najwybitniejszych polityków angielskich. Z powodu podeszłego wieku postanowił on cofnąć się w zacisze życia prywatnego i urząd swój złożył.

Następcą jego został młody, energiczny polityk, dotychczasowy podsekretarz stanu w ministeryum spraw zagranicznych w Londynie. Charles Hardinge. Należał on do zaufanych urzędników zmarłego króla Edwarda VII., który cenił w młodym dyplomacie stanowczość i takt.

Nominacyę Hardinga na stanowisko wicekróla Indyi powitano ogólnie z zadowoleniem.

Diorama grunwaldzka w Krakowie.

W ciągu najbliższych dni nastąpi w Krakowie otwarcie dioramy grunwaldzkiej, pomieszczonej w osobnym budynku przy pl. św. Ducha. Obraz, przedstawiający fragment bitwy pod Grunwaldem, jest dziełem dwu naszych znakomitych artystów-malarzy, Tadeusza Popiela i Zygmunta Rozwadowskiego.

Mimo krótkiego czasu, jakim artyści ci rozporządzali, stworzyli oni prawdziwe dzieło sztuki, które ma wielką wartość artystyczną.

Moment bitwy, który artyści wybrali do swego obrazu, jest końcowym epizodem zaciętej walki na polach pod Grunwaldem, kiedy to pod zachód słońca Krzyżacy, aby uniknąć zupełnego pogromu, rzucili na pole bitwy ostatnie swe zastępy, które do tej pory nie brały udziału w walce. Na wzgórzu po lewej stronie, na tle pięknego pejzażu drzew, stoi w otoczeniu świty król Władysław Jagiełło, wpatrzony w pole bitwy. Na pierwszym planie uderza widza postać Zbigniewa Oleśnickiego, siedzącego na kasztanowatym koniu, poniżej zaś rycerza krzyżackiego, powalonego właśnie przed chwilą drzewcem kopii. W tem miejscu toczyła się poprzednio walka zacięta między prawem skrzydłem armii Jagiełły, złożonem głównie z Litwinów. Jak wiadomo, Litwini nie wytrzymali naporu Krzyżaków i poszli w rozsypkę. Wówczas też walka przeniosła się na inne miejsce.

Środkowa część obrazu przedstawia szarżę rycerstwa polskiego, które rzuciło się z ogromnem męstwem na Krzyżaków i po krótkiej walce rozbiło ich w puch. Na czele widnieje wspaniała postać księcia Witolda, na białym koniu w bogatym, złotym rzędzie. Za rycerstwem polskiem linia Krzyżaków w białych płaszczach, posuwających się od strony prawej ku lewej. Na całej tej przestrzeni aż ku obozowi krzyżackiemu, wre zaciekły bój. Obraz



Diorama grunwaldzka w Krakowie: Tadeusz Popiel i Zygmunt Rozwadowski przy pracy.

tej walki, ruchy zmagających się ze sobą rycerzy, ich zaciekłość — przedstawione nadzwyczaj plastycznie, wywierają też wrażenie olbrzymie i przykuwają na długo oko widza.

W innem miejscu, odciętem od pola bitwy szeregiem sztandarów krzyżackich, grupa jeńców, których pilnuje polski rycerz. Opodal, w tej samej linii, inny obraz zaciętej walki. Główną postacią tego fragmentu, to Wielki mistrz Zakonu, Ulrych, na karym koniu, w hełmie z wielkim czubem pawich piór, w pełnej zbroi, z narzuconą na niej szatą srebrzystą; naciera nań rycerz polski, Wielki mistrz osłania się przed jego ciosem ogromnym mieczem. Z drugiej strony zbliża się do wodza Krzyżaków Litwin z maczugą.

W innem znowu miejscu rozgrywa się walka o sztandar Wielkiego mistrza. Walczy tam Zawisza Czarny, odziany w czarną, szmelcowaną zbroję, z widniejącym na niej herbem Sulima.

Pole obrazu zamyka fragment walki o sztandar królewski, niesiony przez Maćka z Krocimowic.

Całe pole walki oświetlają promienie zachodzącego słońca. Horyzont zasłaniają tumany kurzu, z pośród których wyłaniają się sylwety ogromnych dębów, gdzie właśnie rozpoczęła się pamiętna bitwa.

Obraz pp. Popiela i Rozwadowskiego, nazwany dioramą, przyczyni się niemało do uświetnienia obchodu grunwaldzkiego.



Diorama grunwaldzka w Krakowie: Fragment obrazu, przedstawiającego bitwę pod Grunwaldem.

Nestor austryackich muzyków.

W dniu 22 czerwca b. r. obchodził w Wiedniu ośmdziesiątną rocznicę urodzin jeden z najznakomitszych muzyków obecnej doby, Teodor Leszetycki.

Urodzony w r. 1830 na zamku łańcuckim, gdzie ojciec jego był nauczycielem muzyki hrabiów Potockich i dyrygentem zamkowej kapeli, w młodych już latach nabył takiej wprawy pod kierunkiem swego ojca, który był jego jedynym nauczycielem, iż jako kilkunastoletni chłopiec wszedł w skład zamkowej orkiestry. W tym czasie, dzięki poparciu hr. Potockiego, urządził młody wirtuoz kilka koncertów fortepianowych we Lwowie i okolicy, które zjednały mu zasłużone uznanie.



Święto grunwaldzkie we Lwowie: Oddział konny „Sokoła“ na czele pochodu w czasie uroczystości grunwaldzkiej we Lwowie. Fot. M. Münz, Lwów

Święto grunwaldzkie we Lwowie.

Wielkiem i uroczystem świętem narodowem był obchód ku uczczeniu wiekopomnego zwycięstwa pod Grunwaldem, urządzony w ubiegłą środę we Lwowie. Stolica kraju godnie uczciła ten dzień, składając dowód szczerego patryotyzmu i wielkiego uświadomienia narodowego wśród najszerszych warstw mieszczaństwa.

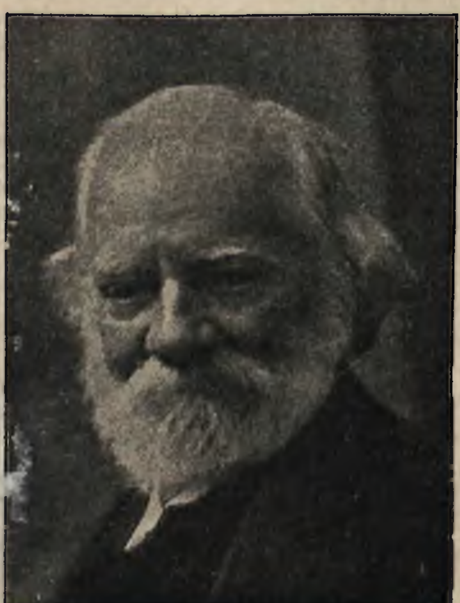
Z całego przebiegu uroczystości i z nastroju, jaki w tym dniu w mieście panował, widoczne było, iż uczestnikom święta nie szło o czcze manifestacye polityczne, lecz że był to wyraz najszczerszych i najszczytniejszych uczuć miłości oiczyzny. Wrażenia ogólnego nie zepsuł żaden dyssonans, a współudział najwyższych dygnitarzy duchownych i świeckich dodał mu powagi i świetności.

Wstępem do uroczystego obchodu było wtorkowe posiedzenie rady miejskiej; porządek dzienny tego posiedzenia wypełniły przemówienia wiceprezydenta Eplera, radnego prof. Janika i radnego dyrektora Biechońskiego.

W środę, w dzień uroczystości, zaczął się obchód pobudką, odegraną w ulicach miasta przez orkiestry. Już wczesnym rankiem zapanował też w mieście ruch ogromnie ożywiony, a prawdziwe tłumy publiczności dążyły ku wzgórzu łyczakowskiemu, gdzie znajduje się boisko sokole; tam bowiem miała się odbyć uroczysta msza polowa. Wśród obecnych byli: marszałek kraju hr. Badeni, członkowie wydziału krajowego, posłowie, rada miejska, prezydyum miasta, korporacye i stowarzyszenia, dalej sokolstwo,

Sława młodzieńca rozeszła się daleko poza granicami kraju, a wielka księżna rosyjska Helena powołała go na swój dwór, gdzie objął obowiązki nauczyciela muzyki i nadwornego pianisty. Z pomiędzy uczniów jego z tej doby wymienić należy księżnę Bariatyńską i baronową Stiglitz, nadto wiele innych osób z rosyjskiej arystokracyi zawdzięcza swe muzyczne wykształcenie znakomitemu wirtuozowi, który potrafił zapalić je do umiłowanego przez się przedmiotu.

Gdy w r. 1862 powstało za inicyatywą Rubinsteina konserwatoryum petersburskie, powołano Leszetyckiego na stanowisko profesora gry fortepianowej. Przez lat piętnaście wykształcił on całe zastępy znakomitych muzyków, którzy po całym świecie roznieśli sławę jego imienia. W r. 1878 przeniósł się na stały pobyt do Wiednia i tu założył własną szkołę wyższej gry fortepianowej, urządzając równocześnie szereg koncertów w różnych stolicach wspólnie z swą żoną, byłą uczenicą petersburskiego konserwatoryum, Anną Essipow.



Nestor austryackich muzyków: Teodor Leszetycki, znakomity muzyk-pedagog i kompozytor.

Z czasem szkoła mistrza Leszetyckiego nabrała takiego rozgłosu, że każdy z adeptów gry fortepianowej, który pragnął nabrać wyższego wykształcenia muzycznego, pod jego kierunkiem uzupełniał swe wiadomości, na tem też polu położył on niespożyte zasługi. Z Polaków kształcili się u niego mistrz tonów Ignacy Paderewski, Mieczysław Horszowski i w. i.

I jako kompozytor zasłynął Leszetycki, a dzieła jego, oparte przeważnie na melodyjnych polskich motywach, rozeszły się po całym świecie, nie zyskały jednak takiego może uznania, na jakie zasługują. Leszetycki jest entuzyastycznym wielbicielem Chopina, Beethovena i Schumanna, wpływ tych geniuszów muzycznych widoczny jest też w jego dziełach.



Koło polskie w Wiedniu: Członkowie Koła polskiego. Na przedzie siedzą: minister Galicyi dr. Dulęba;

młodzież szkolna i akademicka, włościanie itd. Mszę św. odprawił ks. arcybiskup Bilczewski, a podniosłe kazanie wygłosił ks. biskup Bandurski. Na zakończenie przemówił imieniem miasta prof. dr. Roszkowski.

Po mszy polowej ruszył do miasta kilkunastotysięczny pochód z oddziałem konnym „Sokoła“ na czele. Pochód wypadł okazale, imponująco, a doszedłszy do gmachu teatru miejskiego, rozwiązał się.

Dalszy punkt programu stanowiło uroczyste zebranie w teatrze. Kulminacyjnym punktem tego zebrania, a i całego obchodu, była mowa prof. dra Oswalda Balzera, mowa przepiękna, pod względem treści i formy skończona, która też słuchaczów porwała. Dalszy program wypełniły produkcye chóru technickiego i „Lutni“, wykład historyczny dra Czołowskiego i żywy obraz układu p. Wygrzywalskiego.

Popołudniu odbyły się na boisku sokolem ćwiczenia gimnastyczne, te same, które wykonane zostaną podczas zlotu grunwaldzkiego w Krakowie.

Zakończeniem uroczystego obchodu było przedstawienie „Zawiszy Czarnego“, fragmentów scenicznych Słowackiego.

Uroczystości grunwaldzkie dla ludu.

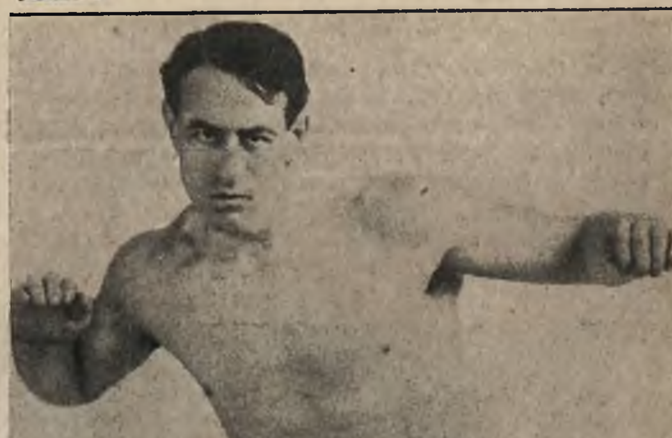
Powiat Ropczyce, liczący około 80 tysięcy ludności, należał do niedawna do najbardziej zacofanych a najmniej cywilizowanych powiatów Galicyi zachodniej. Dopiero obecnie zmieniły się tam stosunki na lepsze i powiąt rozwija się pięknie pod każdym względem. Zawdzięczać to należy gronu ludzi dobrej



Święto grunwaldzkie we Lwowie: Msza polowa na boisku sokolem we Lwowie. Fot. M. Münz, Lwów.

woli, oddanych serdecznie sprawie publicznej i pracujących dla ludu z zupełnem zaparciem się. Objawem i w pewnej mierze dowodem postępu i rozwoju pracy oświatowej w tej okolicy, są wyniki pracy kulturalnej dwu kół miejscowych T. S. L. w Dębicy i Ropczycach.

Rok bieżący, rok poświęcony pamięci Grunwaldu,



Amerykański zapaśnik: Dr. Roller.

dał obu tym kołom pożądaną sposobność do rozwinięcia bardzo szerokiej działalności w całym powiecie. Koło T. S. L. w Dębicy n. p. urządziło dotychczas obchody grunwaldzkie w 15 gminach powiatu ropczyckiego, a nadto 3 odczyty o zwycięstwie pod Grunwaldem z obrazami świetlnymi przy udziale



...skarbu dr. Biliński, wiceprezes koła dr. Czajkowski, prezes dr. Głąbiński, wiceprezesi Stapiński i Stwiertnia.

przeszło 1300 słuchaczów. Podczas obchodów wspomnianych rozdano między lud przeszło 4000 egzemplarzy broszurek grunwaldzkich.

Działalność dzielnych pionierów oświaty zasługuje na pełne uznanie. Oby takich pojawiało się w naszym kraju jak najwięcej. Grupę ich przedstawia dzisiejsza rycina.



Fot. M. Münz. Lwów.

Święto grunwaldzkie we Lwowie: Z popisu kobiet, należących do konnego oddziału Sokoła.



Potworna zbrodnia: Zamordowana artystka amerykańska, Mardy Scott

Amerykański zapaśnik.

Wśród bardzo wielu atletów amerykańskich, z którymi zwycięsko potykał się w rozmaitych miastach Stanów Zjednoczonych nasz znakomity atleta Zbyszko Cyganiewicz, wyróżnił się bardzo dodatnio jeden z najznakomitszych i najgłośniejszych wśród nich, dr. Roller.

Mężczyzna w sile wieku, wspaniale zbudowany, rosły i smukły, obdarzony olbrzymią siłą a przytem nadzwyczajnie zręczny i gibki, był przeciwnikiem, z którym walka nie była wcale łatwą.

Mimo to Cyganiewicz pokonał go dwukrotnie, przewyższał go bowiem i siłą muskułów i zręcznością. Uległ Cyganiewicz dopiero słynnemu i niepokonanemu dotąd przez nikogo, Franciszkowi Gotchowi, a porażka naszego zapaśnika wywołała wśród Polaków amerykańskich ogromne przygnębienie, jak gdyby sprawa narodowa na tem istotnie ucierpiała. Niespodziewaną przegranę Cyganiewicza przypisują ogólnie jego niedyspozycyi chwilowej.

W jednym z poprzednich numerów zamieściliśmy zdjęcia, przedstawiające Cyganiewicza i Gotcha, dziś zamieszczamy jeszcze portret dra Rollera.

Powódź w Szwajcaryi.

W tym samym czasie, kiedy mieszkańcy Krakowa i zachodniej Galicyi tak dotkliwie cierpieli z powodu posuchy i braku wody, szalały w innych krajach, w Bawaryi, Szwajcaryi i t. d. niepamiętne ulewy i burze, które spowodowały gwałtowne wezbranie rzek oraz powodzie w rozmaitych okolicach.

Bardzo wielkie rozmiary przybrała powódź w Szwajcaryi, gdzie nietylko wiele wsi zostało zalanych ale i miasta większe. Zwłaszcza w Lucernie dała się odczuć ta żywiołowa katastrofa. W mieście tem wiele placów i ulic zostało pozamienianych w jeziora względnie rzeki, a komunikacyę można było utrzymywać przeważnie tylko zapomocą łodzi lub tratew. Pobudowano też prowizoryczne mosty i kładki, aby mieszkańcom umożliwić przejście z jednej ulicy na drugą. Wogóle wygląd Lucerny przypominał zupełnie Wenecyę.



Uroczystości grunwaldzkie dla ludu: Grono najczynniejszych członków koła im. Wyspiańskiego T. S. L. w Dębicy.

ARNOLD BENNETT.

WIDMO

6

— Przedstawcie sobie! miałam wrażenie, że ja znam ten dom — zaczęła. — Zaledwie weszłam na podworzec, poczułam, że musi tu być korytarz, idący na prawo, a na końcu tego korytarza kilka schodów, podejście i drzwi, a poza temi drzwiami wielki pokój, salon... To też bez dzwonienia, nie czekając na poczciwego Alreskę weszłam tu...

— A co drogą panią sprowadza do Bruges? — zapytał Alreska.

— Troska o zdrowie pańskie, drogi panie! — odpowiedziała z uśmiechem. — W Bayreuth spotkałam się z tą dziwną osobą, panią Sullivanową Smith i od niej dowiedziałam się, że pan wciąż jeszcze tu bawi, razem z panem Fosterem. Dziś zaś, w drodze pomiędzy Kolonią i Ostendą przyszło mi nagle do głowy, żeby jeden wieczór spędzić w Bruges i dowiedzieć się, jak się pan tu czuje — i pan Foster także. Pan wie, że gazety podawały najsprzeczniejsze wiadomości.

— Czy doprawdy? — roześmiał się Alreska. — Zauważyłem jednak, że zdenerwowany był i nieswój. Co do mnie, przyznaję, że byłem uszczęśliwiony z tego nagłego, niespodziewanego widzenia Rozy, a i z tego, że i mną się interesowała także. Odgadywałem jednak, że lepiejby było, gdyby nie była wcale przyjeżdżała; miałem głuche przeczucie jakiegoś nieszczęścia.

Twarz Alreski gorzała rumieńcem. Mówił krótko, szybko, urywanie. Naprzemian głos jego to unosił się gorąco, to wpadał w sztuczny chłód. Wdzięczna obecność Rozy, jej dźwięczny szczebiot, wesoły śmiech zapełniały pokój. Płynął od niej jakiś czar rozkoszny, odurzający, niósł się dokoła i otulał duszę Alreski. Zdawało się, że on broni się przed jakimś wpływem i że stopniowo ulega jego słodyczy. Obserwowałem go bacznie — nie byłże moim pacyentem? — i odgadywałem toczącą się w nim walkę. Myślałem o tem, co mi przed chwilą powiedział i lęk mnie brał, czy on nie przecenił siły swojej woli...

— Pani po obiedzie? — zapytał Alreska.

— Jadłam, owszem — odpowiedziała. — Ale po całodziennej podróży nie czuje się głodu.

Przystała tylko na filiżankę czarnej kawy — i chodząc z tą filiżanką w ręku, oglądając artystyczne drobiazgi urządzenia, opowiadała Alresce różne nowiny o wspólnych znajomych operowego świata, o tem, jak jeden się ożenił, inny zrobił fiasco w Buenos Ayres, jak ten szaleje z zazdrości, tamten zapadł na tyfus, a znów innego ścigają dłużnicy i t. p. i t. p.

— A Smarth? — zapytał wkońcu Alresca.

Czekałem na to pytanie.

— Ach, Sir Cyryl! Nic o nim nie słyszałem. Ja się nim bynajmniej nie interesuję.

Zacisnęła usta i nagle spojrzała ku mnie, nie mogłem jednakże niczego wymiarkować z jej twarzy. Gdyby ona wiedziała, że kosztowny sztylecik, schowany starannie, leżał w pokoju nad jej głową!

Słomiany jej kapelusik i woalka leżały na taborecie między oknami. Wzięła je do ręki, jakby zabierając się do wyjścia i położyła znowu.

— Będę musiała zaraz uciekać — rzekła, pochylając się nad Alreską — ale nim odejdę, tak radabym obejrzeć ten cały dom! To taki jakiś oryginalny kąt! Czy pan pozwoli, żeby mi go pan Foster pokazał? Nie na długo zabiorę go panu.

— Tak po ciemku?

— Mamy przecież świece.

Za chwilę z srebrnym lichtarzem w ręku prowadziłem Rozę po szerokich schodach domu. Pozostawiliśmy Alreskę samego, zapaliwszy lampę przy jego posłaniu i podawszy mu do czytania „Madame Bovary“.

Zatrzymaliśmy się na pierwszem podejściu, chcąc obejrzeć jakiś obraz.

— Zdaje się, że on się wyleczył z tej tajemniczej choroby, na którą zapadł, czy też zdawało mu się, że zapadł w Londynie? — zapytała mnie nagle cichym, lękliwym nieco, poufnym tonem.

Nie wiem sam, dlaczego zawahałem się.

— On tak sądzi — odpowiedziałem ostrożnie. — W każnym razie czuje się o wiele lepiej.

— Tak, ja to widzę. Ale jeszcze wciąż silnie jest nerwowo podniecony.

— Ach — odpowiedziałem — to tylko... tylko niekiedy...

Chodząc z nią z pokoju do pokoju, zapomniałem o wszystkiem, prócz o jej obecności. Piękność jej była przepotężna; a ta potęga działała bez żadnej sztuki, najzupełniej nieświadomie. Zacząłem smutnie dumać nad tem, czy też ona ostatecznie wyjdzie kiedy za Alreskę, lecz nagle jej odezwanie się przywołało mnie do przytomności. Dochodziliśmy do górnego piętra.

— To wszystko tak mi jakoś znajome — zauważyła.

— To samo mówiła pani na dole. Czy pani tu kiedy była?

— Nigdy, o ile mi wiadomo.

Szliśmy obok siebie długim, szerokim korytarzem. Nagle potknąłem się, tak że omal nie upadłem — o niespodziewany pojedyńczy stopień. Roza jednakże trafiła nogą na ten stopień.

— Nie widziałem stopnia — rzekłem.

— Ani ja — odpowiedziała — ale jakoś wiedziałam, że on tu być musi. To dziwne i niezrozumiałe; muszę o tem pomówić z Alreską..

Roześmiała się z przymusem.

W chwili, gdym naciskał klamkę drzwi, przytrzymała moją rękę.

— Słuchaj pan! — rzekła — teraz będzie mały pokój, a nad kominkiem wisi mały okrągły obrazek, przedstawiający psa.

Otworzyłem drzwi z lekkim dreszczem. Tej części domu nie znałem. Pokój był istotnie mały, ale nie było małego obrazka nad kominkiem. Wisiał tam dość duży kwadratowy obraz, pejzaż morski.

— Źle pani zgadła — rzekłem z uczuciem jakiejś ulgi.

— Nie, nie, jestem swego pewna!

Podeszła do obrazu i zdjęła go ze ściany.

— Niech pan patrzy! — rzekła.

Poza obrazem na ścianie był okrągły białawy, jaśniejszy ślad, zaznaczający, że inny obraz poprzednio tu wisiał.

— Pójdźmy już! pójdźmy już! Takie niemiłe to, drgające światło świecy! — szepnęła, czepiając się mojego ramienia.

Wróciliśmy na korytarz i puściła moje ramię.

— Czy to nie był Alreska? — krzyknęła.

— Gdzie?

— Tam na końcu korytarza... tam!

— Nie widziałem nikogo i nie mógł to być on, dla tego poprostu, że on jeszcze chodzić nie może, a tem bardziej wejść na trzecie piętro. Zdenerwowała się pani.

Zeszliśmy na dół. W głównej sieni gospodyni Alreski, widocznie stara znajoma, powitała Rozę ukłonem i zagadała do niej. Ja zaś poszedłem prosto do salonu.

Gdy to piszę, widok pokoju tak żywo stoi przede mną! Większą część pokoju zalegał cień, lampa jednak paliła się jasno w głowach posłania, oświecając wyraźnie piękny profil Alreski. Zasrął widocznie — w każdym razie oczy miał zamknięte. Tomik „Madame Bovary“ leżał na podłodze, a obok ołówek w złotej oprawie. Spokojnie podniosłem książkę, a na żółtej okładce dojrzałem kilka słów napisanych. Były to te słowa:

„Karolu, ja ją kocham. On znowu wrócił. Tym razem to będzie...“

Długo patrzyłem na tę spokojną, na tę szlachetną twarz; nachyliłem się i słuchałem...

W tej chwili weszła Roza. Chowając książkę, wyciągnąłem rękę, tym ruchem nakazując ciszę.

— Spokojnie! — rzekłem i załamał mi się głos.

— Dlaczego? Co się stało?

— On nie żyje — odpowiedziałem szeptem.

Nie przyszło mi wcale na myśl, że powinienem był ją przygotować.

Rozdział VII.

Patrzeliśmy na siebie, Roza i ja poprzez śmiertelne szczątki Alreski.

Wszystkie nieokreślone a straszne obawy, niepokoje, przypuszczenia, które stopniowo poprawa stanu Alreska uśpiła, zrywały się znów w mojej duszy, wypływały na jasną powierzchnię z tych niezbadanych zakamarków duszy, gdzie przyczaiły się i skryły. I znowu pamięcią wróciłem do tych posępnych dni w Londynie przed naszą podróżą do Bruges, dni, nad którymi tajemnicza jakaś groza wisiała.

Przypomniało mi się majaczenie Alreski zaraz po wypadku i hallucynacya jego — wizya jakaś na białej ścianie garderoby. Przypomniało mi się, jak wybuchnął przeciw Rozie. I przypomniał mi się też wybuch Emmeliny Smith przeciw Rozie. Wspomniałem tę wizyę w kuli kryształowej i nagle zjawienie się wtedy Rozy. I scenę pomiędzy Rozą a Sir Cyrylem Smarth i jej chęć przebicia sobie ręki sztylecikiem, klejnotem wysadzanym. Widziałem w myśli błysk tego sztylecika na kamieniach trotuaru ulicy... I przyszło mi na myśl zniknięcie Sir Cyryla Smarth. I wszystkie niezrozumiałe okoliczności dziwnego upadku sił Alreski i jego równie niezrozumiałe ozdrowienie. I uderzyło mnie to, że przecież jego wyzdrowienie zbiegło się z zupełną nieobecnością Rozy i brakiem jego z nią styczności.,. A oto ona przybywa! Nie ubiega godzina i on nie żyje! „Kocham ją. On powrócił. Tym razem to będzie...“ Jak on chciał zakończyć to zdanie?... Któż to „powrócił“?... Byłżeż kto inny jeszcze zamieszany w zagadkę tej tragedyi? Byłże to może ten mężczyzna, którego spotkałem owej nocy, gdym znalazł sztylecik?

„Kocham ją“... Więc czyż łudził się co do swego serca, gdy zwierzał mi się parę godzin temu? Czy nagle zjawienie się Rozy wzbudziło tę miłość na nowo? Dla czego ona go niegdyś odrzuciła? Zdawało się, że ma dla niego tyle serdecznego uczucia. A jednak ona go zabiła. Wprost czy pośrednio ona się stała śmierci jego przyczyną...

I gdym tak patrzył na nią, głęboki żal za Alreską czynił mnie jej sędzią. Zapomniałem na chwilę tych uczuć, któremi mnie natchnęła, a które wstecie nie zamarły w głębi mojej duszy.

— Jak pani tłómaczy to, co się stało? — zapytałem jej spokojnym, a jednak trochę nieprzyjaznym tonem.

— Och! — westchnęła. — Jak to smutne! Jak to straszne, strasznie smutne!...

Głos jej był tak czysty i miły, spojrzenie tak niewinne, a boleść na twarzy tak szczera, że zniknął z mej duszy wszelki ślad podejrzenia. Choć nie odpowiedziała na moje pytanie, jak gdyby go nie była dosłyszała, wiedziałem już teraz z bezwzględną pewnością, że śmierci Alreski tak samo nie zawiniła ona, jak ja sam.

Przystąpiła bliżej, długo patrzyła w zmarłego i martwą dłoń jego ujęła w swoją. Nie płakała jednak...

A potem nagle wyszła z pokoju i z domu.

Przez parę dni wcale jej nie widziałem. Przysłała wspaniały wieniec z swoim biletem. Tyle tylko.

Jednakże stanowcza pewność, że ona nie była wplątaną w tą zagadkę, nie przeszkodziła mi dręczyć się nad jej rozwiązywaniem. Musiałem ją także rozwiązać dla władz belgijskich — więc wystawiłem świadectwo, że Alreska umarł „na paraliż serca“.

Nie miałem zresztą w owych dniach czasu (chyba po nocach) do rozmyślania nad tajemnicą. Przekonałem się bowiem wkrótce — czego dotąd nie objąłem należycie — jak znaczącą osobistością w świecie był Alreska.

Pierwszy anons jego śmierci ukazał się w *Etoile Belge*, znanym brukselskim dzienniku, a od tej chwili listy, telegramy, goście — wszystko to strumieniem napływało do domu Alreski. Jako jego towarzysz musiałem się naturalnie oddać tym dotyczącym go sprawom, zwłaszcza że jak się zdawało, nie miał żadnych krewnych. Korespondenci angielskich, francuskich i niemieckich gazet rzucili się na mnie, w pogoni za informacyami. Przewąchiwali jakąś tajemnicę, ale ja im to wyperswadowałem. Opowiedziałem im, że przecież Alreska oddawna chorował, umarł zaś zupełnie naturalnie, z wyczerpania akcyi serca.

Owe dni wspominam, jak nocną zmorę męczącą. Przy pomocy nieocenionego Aleksego, bez tchu prawie wysyłałem telegramy i listy i wypowiadałem grzeczne frazesy do ludzi, których widziałem po raz pierwszy w życiu.

Miałem też dwie niespodzianki.

Najpierw anglo-belgijski prawnik, którego wezwałem, powiadomił mnie, po przejrzeniu papierów Alreski w obecności urzędnika, że przyjaciel mój pozostawił testament, z daty bezpośrednio przed przybyciem naszem do Bruges, zapisujący całą swą własność mnie i naznaczający mnie jedynym egzekutorem. Nigdy nie zrozumiałem, dla czego on to uczynił — chyba przez prosty kaprys swego dobrego serca.

Drugą niespodzianką była wizyta burmistrza miasta. Przyszedł w uroczystym stroju. Była to wizyta bardzo ceremonialna. Złożywszy mi kondolencye i zarazem powinszowawszy spadku, oświadczył, że miasto życzy sobie oficyalnego, uroczystego pogrzebu. Na razie sprawiło mi to przykrość, ale nie było powodu do przeciwstawiania się, przystałem przeto na tę propozycyę.

Wystawiono zatem zwłoki w katedrze; zdawało się, że całe miasto okryła żałoba; przed trumną znakomitego ziomka przepływały falą tłumy.

W wilię pogrzebu przyszedł do mnie ksiądz staruszek, wysłaniec biskupa.

— Jego Eminencya ksiądz biskup przypomniał sobie, że nie ofiarowano panu przywileju czuwania przy trumnie.

Przestraszyła mnie ta myśl, ale nie wiedziałem, co powiedzieć.

— Ksiądz biskup bardzo przeprasza za to przeoczenie i pyta, czy pan sobie życzy czuwać?

Zrozumiałem, że odmową dotknąłbym duchownego.

— Będę to sobie poczytywał za zaszczyt — odpowiedziałem. — Kiedy mianowicie?

— Od północy do godziny drugiej — odpowiedział ksiądz. — Dalsze godziny czuwania już są obsadzone.

— Zgoda — odpowiedziałem po chwili.

Ksiądz pożegnał się i wyszedł.

O pięć minut przed dwunastą zapukałem do północnego wejścia katedry. Zakrystyan z zapaloną świecą w ręku wpuścił mnie odrazu. Nie było innych świateł, prócz tej świecy i czterech świec woskowych, palących się w czterech narożnikach katafalku; zresztą ogromne wnętrze kościoła tonęło w ciemności. Zakrystyan w milczeniu wskazał mi katafalk, ustawiony w presbiteryum; nieśmiało przebyłem mroczną, dzielącą mnie przestrzeń, a kroki me jakoś strasznie rozbrzmiewały w ciszy. Dwóch młodych księży stało po obu bokach trumny. Jeden z nich mi się ukłonił, a ja zająłem jego miejsce. Wyszedł. Drugi ksiądz odmawiał modlitwy za umarłych; zmarszczka skupienia fałdowała jego białe czoło. Plecami odwrócony był trochę od ciała i zdawało się, że mnie wcale nie zauważył.

Skrzyżowałem ręce na piersiach i chcąc rozproszyć trochę zmęczone, niespokojne myśli. rozejrzałem się w około. Nie miałem odwagi spojrzeć na purpurowy płaszcz, nakrywający śmiertelne szczątki Alreski. Sami byliśmy — ksiądz ja i Alreska — i bałem się. Napróżno rozglądałem się po witrażach okien, oświetlonych słabo gwiaździstą sierpniową nocą, po pięknie rzeźbionych stalach chóru i starych gotyckich ołtarzach. Bałem się — strachu zwyciężyć nie mogłem... Nagle zegar na wieży wydzwonił dwunastą. Wślad za tem zagrała na dzwonach uroczysta żałobna melodya.

— Skąd to pochodzi? — zapytałem księdza, nie bacząc, że nie wolno rozmawiać w czasie czuwania.

— To gra dzwonów — odpowiedział, przerywając swoje modlitwy ksiądz, trochę niechętnie. — Nigdy pan tego nie słyszał? Co noc od dnia śmierci grają dzwony o północy na pamiątkę Alreski.

I zatopił się znowu w modlitwie.

Upływały minuty, a mój niepokój wzrastał. Przechodziłem wszystkie lęki i trwogi, jakie znoszą ci, co spędzają noce bezsenne, podlegające złym przywidzeniom i strasznym przeczuciom. Poprzez to wszystko czułem chłód kamiennej posadzki, mrożącej mi stopy...

Trzeci kwadrans po pierwszej wybił i już zacząłem się cieszyć, że nadchodzi koniec mojej męki. Smielej spojrzałem w cień głębokiej nawy, wyrzucając sobie nieokreślone moje lęki. I wtedy, w chwili gdym starał się przebić okiem ciemności bocznej kaplicy, spostrzegłem, że stoi tam człowiek. Chciałem zwrócić na niego uwagę księdza — ale nie mogłem... nie mogłem. Spokojnie wyszedł z kaplicy i cichymi krokami podszedł w górę nawy. Podszedł po stopniach prezbyteryum i zbliżył się do nas; stanął u stóp katafalku; stanął o dwa kroki ode mnie. Ksiądz odwrócony był do niego plecami. Mężczyzna zdawał się nie uważać na mnie, wzrok miał utkwiony w trumnę. Ale ja wiedziałem, kto on jest. Znałem tę piękną, surową, dumną twarz, tę postawę sztywną, to nieugięte spojrzenie. To był tensam, którego widziałem stojącego pod drzewem na ulicy Oxford-Street, naprzeciw hotelu Alreski. Przez kilka chwil twarz jego nie zdradziła żadnego wzruszenia. Lecz nagle rysy jego przybrały wyraz niewymownej złośliwości. Z szatańskim tryumfem drwił z majestatu śmierci, wzgardliwym, obraźliwym skurczem twarzy urągał zmarłemu...

Przyznaję, że stałem jak zaczarowany zdziwieniem i grozą. Powinienem był usunąć tego świętokradczego gościa, zawołać na księdza — ale nie mogłem... Drżałem przed tym tajemniczym człowiekiem. Kolana moje dosłownie trzęsły się i uginały. Poznałem, co to strach... Stchórzyłem... Wreszcie on odwrócił się, rzucił mi jakieś nieokreślone spojrzenie i powoli, z godnością odszedł w głąb nawy i zniknął.

Wtedy, ale dopiero wtedy, odzyskałem głos i odwagę. Pociągnąłem księdza za rękaw sutanny.

— Ktoś był w tej chwili w katedrze — szepnąłem głucho. I opowiedziałem mu, com widział.

— To być nie może! *Retro me Satanas!* To było przywidzenie — mówił sucho, ostro.

— Nie, nie — podchwyciłem żywo. — Ja mogę zapewnić...

Uśmiechnął się z niedowierzaniem i powtórzył raz jeszcze;

— To proste przywidzenie!

Ale ja dobrze wiedziałem, że to nie było przywidzenie i że tego człowieka widziałem rzeczywiście.



Przywitaliśmy się z Rozą w milczeniu...

Rozdział VIII.

Wróciwszy po wzruszającej i malowniczej uroczystości pogrzebowej do domu Alreski — należy powiedzieć „do mojego domu“ — zastałem bilecik od Rozetty Rozy, proszący, bym ją odwiedził w Hotel du Commerce. To była pierwsza od niej wiadomość od chwili, gdy tak nagle opuściła widownię śmierci Alreski. Wybrałem się natychmiast do wskazanego hotelu i właśnie wychodząc, spotkałem się z moim anglo-belgijskim prawnikiem, który doręczył mi wielką kopertę, zaadresowaną do mnie pismem Alreski; na kopercie był dopisek „osobiste“. Prawnik, który zajęty był sortowaniem i przeglądaniem ogromnej ilości różnych przez Alreskę pozostawionych papierów, oświadczył mi, że dziś dopiero odnalazł to pismo. Włożyłem kopertę do kieszeni i szedłem dalej do hotelu Rozy. Później dopiero uświadomiłem sobie, jak pilno mi było ujrzeć ją znowu.

„Hotel du Commerce“ jest to główny hotel w Bruges. Zaledwie wszedłem w bramę, podszedł do mnie lokaj.

— Przepraszam pana, ale nie mamy pokoi.

— Dla czego mi pan to mówi?

— Przepraszam. Myślałem, że pan potrzebuje pokoju. Panna Rozetta Roza, wielka śpiewaczka, tu mieszka i wszyscy Anglicy z „Hotel du Panier d'Or“ przenieśli się do nas, by mieszkać tam, gdzie ona.

— Mnie pokoju nie potrzeba — odpowiedziałem — ale przyszedłem złożyć uszanowanie tej pani.

— Ach, co do tego zapytam się, proszę pana. Odrazu przybrał wyraz kamienny.

— Proszę poczekać. Oto mój bilet.

Przyjął bilet z taką miną, jakby chciał powiedzieć, że to jeszcze niczego nie dowodzi. Po chwili ukazał się inny lokaj i przepraszając uprzejmie, zaprowadził mnie do prywatnego saloniku Rozy. Gdym wchodził, wyszła stamtąd młoda, ciemnooka kobieta w czarnym fartuszku, najpewniej panna służąca Rozy. Przywitaliśmy się z Rozą w milczeniu i z pewnem zakłopotaniem. Otulona w miękką, powłóczystą czarną suknię, spoczywała w fotelu. Piękna twarz jej była śmiertelnie blada; pod oczami o rozszerzonych źrenicach były sine kręgi.

— Pani chorowała — zawołałem — a mnie nikt o tem nie powiedział!

Wzruszyła ramionami przecząco i wstrząsnęła się dreszczem.

— Nie — odpowiedziała krótko i umilkła. — On już pochowany?

— Tak!

— Niech mi pan o tem opowie.

Pragnąłem rozpytać się bliżej o jej zdrowie, lecz ton jej był prawie rozkazujący, a ja dziwnie się bałem obrazić ją. Będąc jednak lekarzem i zaniepokojony o nią, pytałem jeszcze:

— Ależ pani z pewnością musiała być cierpiącą?...

Tupnęła nóżką. Po raz pierwszy zauważyłem u niej odruch niecierpliwości.

— Fizycznie nie — odpowiedziała krótko. — Niech mi pan opowie wszystko o pogrzebie.

Zdałem jej przeto sprawę z wzruszających szczegółów pogrzebu, opowiedziałem o wspaniałym pochodzie, o uroczystem nabożeństwie i o dowodach ogólnego żalu. Okazywała dziwną, chorobliwą ciekawość co do wszystkiego tego. A potem wstała ze swego fotelu i ja także wstałem i zapytała mnie, jak gdyby nie mogąc oprzeć się wewnętrznemu przymusowi:

— Pan go kochał, nieprawdaż panie Foster?

— Przywiązałem się do niego z całego serca — odpowiedziałem. — Nigdy nie przypuszczałem, że mógłbym się do kogo tak przywiązać w tak krótkim czasie. To nie tylko był szlachetny artysta, to był i szlachetny człowiek.

Skinęła głową.

— Pan go rozumiałeś? Pan znałeś go dobrze? Mówił z panem otwarcie, nieprawdaż?

— Tak — odpowiedziałem. — On mi wiele mówił o sobie.

— To niechże mi pan wytłómaczy — zawołała i łzy zabłysły w jej oczach — dla czego on umarł, w chwili, gdy ja przybyłam?

— To był prosty zbieg okoliczności — odpowiedziałem głosem niepewnym.

Chwyciwszy moje ręce, uklękła przedemną i spojrzała mi w oczy błagalnie.

— To nie był prosty zbieg okoliczności — przemówiła, łkając. — Dla czego nie może pan być ze mną szczerym i powiedzieć mi, jak się stało, że to ja go zabiłam? On dawno to powiedział — nie pamięta pan? — że ja mu nieszczęście przynoszę. Odzyskiwał zdrowie — pan sam to powiedział — dopóki nie przybyłam, a gdy przybyłam, umarł!

I cóż ja na to odpowiedzieć mogłem? W tej chwili ona sama wypowiadała myśli, które mnie prześladowały przez cały ten czas... Starałem się uśmiechnąć uspokajająco i podniósłszy ją z kolan delikatnie, zaprowadziłem z powrotem na fotel.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Po latach trzydziestu.

W trzydzieści lat po złożeniu egzaminu dojrzałości zjechało się we Lwowie przed paru dniami grono poważnych ludzi, zajmujących dziś wybitne w społeczeństwie stanowiska, aby przypomnieć sobie miłe, serdeczne chwile, spędzone wspólnie na ławach szkolnych. Byli to maturzyści z 1880 r., którzy wówczas opuścili mury gimnazyum IV. we Lwowie, w tym roku właśnie przemienionego w samodzielny zakład naukowy z klas równorzędnych gimnazyum Franciszka Józefa.

Z 32 uczniów, którzy w owym roku złożyli egzamin dojrzałości w IV. gimnazyum, pozostało przy życiu 24; w tem jest: 2 księży, 3 rolników, 3 lekarzy, 1 profesor uniwersytetu, 1 dyrektor gimnazyum, reszta zaś urzędnicy wszelkiej dykasteryi.

Na zjazd koleżeński przybyli prawie wszyscy, co bardzo pięknie świadczy o uczuciach koleżeńskich wśród nich, co też dowodzi, jak silne są węzły przyjaźni, na ławie szkolnej zadzierżgnięte. Przybyli nadto trzej profesorowie ówczesnych maturzystów, a to: ks. prałat dr. Lenkiewicz, prof. dr. Kruczkiewicz i radca dyr. Biesiadzki.

Zjazd rozpoczął się mszą św., poczem koledzy zeszli się w jednej z sal szkolnych, gdzie kilku z nich przemawiało, a wieczór odbyła się wspólna kolacya, przeplatana pięknymi toastami. Przy sposobności tej pamiętano i o ubogich uczniach i zebrano na rzecz bursy gimnazyum Franciszka Józefa kilkadziesiąt koron.



Poświęcenie kaplicy zakładowej w Swoszowicach: Grono uczestników z drem Zanietowskim na czele.

Dramat miłosny w Stutgarcie.

Ponury dramat miłosny rozegrał się niedawno w Stutgarcie. Kapelmitrz opery tamtejszej, dr. Obrist, zamordował śpiewaczkę Annę Sutter, a następnie sobie życie odebrał. Obrist, człowiek żonaty, zakochał się do szaleństwa w pięknej śpiewaczce i chcąc ją poślubić, rozwiódł się ze swą młodą żoną, kobietą bardzo piękną. Tymczasem śpiewaczka poczęła zwodzić kapelmistrza i zwlekać z stanowczą decyzyą. Obrist dowiedział się, że zawiązała ona stosunek miłosny z młodym śpiewakiem Swobodą.

Wiadomości te wyprowadziły dra Obrista z równowagi. Przed paru dniami wpadł on rano do mieszkania ukochanej swej i zastał ją, jeszcze w łóżku. Bez namysłu dobył brauninga i strzelił do niej trzykrotnie; jedna z kul, przebiwszy serce, spowodowała natychmiastową śmierć. Bezpośrednio potem dał Obrist kilka strzałów do siebie i padł obok łóżka bez życia.

Straszna ta tragedya wywołała w świecie artystycznym wielkie wrażenie.

Znakomita tancerka.

W ubiegłym i bieżącym tygodniu wystąpiła kilkakrotnie na scenie teatru w parku krakowskim znakomita tancerka Eugenia Treplin, której produkcye stanowiły nadzwyczajną atrakcyę i podobały się ogólnie.



Znakomita tancerka: Eugenia Treplin.

Eugenia Treplin jest tancerką znaną na wielu zagranicznych scenach. Występuje ona stale w teatrze „La Scala“ w Medyolanie, gościnnie zaś występowała w Wiedniu i innych wielkich miastach.

Produkcye doskonałej tej tancerki są prawdziwie estetyczne i pełne smaku. Podziwiać trzeba wdzięk artystki, gibkość jej ruchów i nadzwyczajną rytmiczność. Zalety te cechują zarówno tańce staro-



Fot. E. Trzemeski, Lwów.

Po latach trzydziestu: Uczestnicy zjazdu maturzystów IV. gimnazyum we Lwowie. W pośrodku trzej profesorowie: radca Biesiadzki, ks. prałat Lenkiewicz i prof. dr. Kruczkiewicz.

żytne, n. p. egipskie, jak tańce współczesne, ilustrujące muzykę najznakomitszych kompozytorów. Temperament artystki występuje najwybitniej w tańcach hiszpańskich.

Z okazyi występów Eugenii Treplin w Krakowie umieszczamy w dzisiejszym numerze jej portret.

Kronika tygodniowa.

(Lwowskie awantury. — Kronikarz Chanteclairem. — Kratt i Kocko. — Zapowiedź awantur i ich precyzyjne wykonanie.— Ukraina militans. — Co świat na to? — Interpelacya Kostusia w Radzie państwa. — Głąbiński i Kolessa. — Jak się prasa zachowuje? — Strona humorystyczna tragedyi. — Sprawcy czynni i moralni. — Rada miejska i młodzież w tej sprawie. — Jaka z tego korzyść? — Czy przypadkiem Rakowski nie miał racyi? — Grunwald bez mszy polowej i pomnika. — Praca komitetu. — Wybór prezydenta. — Czyżby pan Doboszyński?...).

Ubiegły tydzień przyniósł nam niespodziankę, której się jednak łatwo bardzo można było spodziewać. Kochani bracia stryjeczni z za Sanu dali znown znak życia, świadczący, że kulturalnie dorośli już do tego, aby mieć swój własny uniwersytet, tak jak posiadają już swój własny zakład karny w Stanisławowie. Gdyby nie to, że sam w swej własnej osobie jestem autorem kroniki, w której swojego czasu wspomniałem kilkakrotnie o Rusinach i przypuszczałem, że przecież może kiedyś przejrzą i zerwą z dotychczasową taktyką, dziś wytknąłbym autorowi, że tego chyba nigdy spodziewać się nie możemy, dopóki na czele rusko-ukraińskiego społeczeństwa stoją ludzie tej wartości moralnej, co dzisiejsi prowodyrzy. Sam jednak ze sobą kłócić się nie mogę, biję się więc w piersi i przyznaję w całej pokorze ducha, że zbłądziłem, mając o nich tak dobre wyobrażenie.

Przed kilku dniami wyczytałem w pewnem pisemku, że kronikarz jest tym kogutem, który grzebie na śmietniku społecznym, a ta definicya tak mi się spodobała, że w myśli widzę się już Chanteclairem, za teren jednak politycznego grzebania wybiorę na razie śmietnisko wschodnio-galicyjskie, w szczególności zaś gród nadpełtwiański, któremu jako c. k. stolicy, choć Krakowiak z krwi i kości, oddaję zawsze najlojalniej należące mu się pierwszeństwo.

Zajmuje mnie, podobnie jak i cały kraj, głównie sprawa zbrojnego napadu hajdamaczyzny na lwowski uniwersytet. Jest to drugi z rzędu objaw europejskiej kultury; pierwszego bohaterem był Pawło Kratt, w drugim mimowoli stał się bohaterem Adam Kocko, męczennik narodowy za sprawę uniwersytecką. Jego ekscellencya ks. metropolita Szeptycki poczyni niezawodnie, gdzie potrzeba, kroki, aby go kanonizować, hajdamacy nie posiadają bowiem dotąd własnego patrona.

Przed kilku tygodniami wspominałem już o przemówieniu dra Dnistrjańskiego w komisyi budżetowej, w którem wcale niedwuznacznie zapowiedział krwawe awantury, wyraził się bowiem dosłownie: Niech rząd się strzeże, aby w XX wieku zaspokojenia najwyższych potrzeb kulturalnych nie zdobyto drogą rzezi!... W Izbie panów ksiądz metropolita biadał także nad upośledzeniem swych owieczek, które tak pragną wyższej oświaty i ogłady, ale we własnym zarządzie, a posłowie ukraińscy postawili rządowi ultimatum, aby wypowiedział się stanowczo najpóźniej do trzydziestego czerwca (tym razem zapomnieli o starym stylu), co zamyśla zarządzić, aby uniwersytet ruski, recte ukraiński, powstał w jak najkrótszym czasie.

Rząd do dnia trzydziestego czerwca nie dał żadnej odpowiedzi. O tem panowie posłowie zawiadomili natychmiast swych gołowąsych wyborców, a ci zmobilizowali całą wojującą Ukrainę i postanowili przypomnieć światu, że pajdokracya żyje i działa. W świątyni wiedzy i kultury rozległy się strzały browningowe, polała się krew, spełniły się więc słowa posła Dnistrjańskiego, wypowiedziane przed dwu niespełna tygodniami. Padło młode życie z rąk własnych braci, rzekomo w walce o najświętsze ideały, w rzeczywistości zaś dla pożytku boryteli, którzy na karkach bezmyślnej młodzieży pną się do kariery. Walka o oświatę jest piękną i wzniosłą, jednak prowadzoną być musi w inny sposób, nie według ukraińskiej taktyki: z pałką, siekierą lub browningiem w dłoni.

Ukraińskiej młodzieży i dziwić się nie można. Od pierwszych chwil życia wpaja się w nią zasady hajdamaczyzny i przekonuje, że dzieje się jej kryda ze strony Polaków, ubolewać natomiast należy, że prowodyrzy są tak krótkowzroczni, iż nie widzą, że właściwie sami grób kopią dla swych dążeń i ideałów.

Po spełnieniu bohaterskiego czynu patrzyli Rusini z miną tryumfatorów, jakie postępek ich wywołał wrażenie, nie zapomnieli jednak o owej przysłowiowej perfidyi wschodniej, dzięki której rozgłosili światu, że oni, Bogu ducha winni, przyszli spokojnie na uniwersytet, a Polacy, których było dziesięć razy mniej, sprowokowali ich haniebnie, bo nie pozwolili strzelać do siebie. Moralni sprawcy, panowie posłowie we Wiedniu, darli szaty z oburzenia, że znowu dzieje się im krzywda, a pan Kost Lewickij wniósł interpelacyę w Radzie państwa, żądając opieki dla gnębionych przez Lachów Ukraińców. Jak zaś sprzecznem jest postępowanie polskich i ukraińskich polityków, widzimy choćby z tego, że gdy sprawozdawca wiedeńskiej *Zeit* bezpośrednio po wypadku zgłosił się u Głąbińskiego i Kolessy z prośbą o informacye, pierwszy z nich oświadczył, że dotąd nie ma danych, aby módz coś twierdzić stanowczo, drugi zaś przyznał wprawdzie, że nie wyrobił sobie jeszcze zdania, ale utrzymuje, że z Rusinami nie postępuje się tak, jak w państwie prawnem, ale jak w zdobytym kraju i że i w niniejszym wypadku cała wina leży tylko po stronie Polaków.

Część prasy wiedeńskiej wzięła początkowo Rusinów w obronę, z czasem jednak przekonała się, iż poinformowano ją tendencyjnie, wina bowiem jedynie i w całości spaść musi na stronę ukraińską, jako prowokującą.

Tragiczny wypadek miał nadto i humorystyczne sceny. Ciekawy musiał być widok teologów, idących z podkasanemi rewerendami na zdobycie barykad, a wprost wzruszająca odwaga młodzieńca, który na widok wkraczającej policyi postanowił się salwować ucieczką po rynnie. Pomysłowość Ukraińców wystąpiła też w pięknem świetle; jeden z Lwowiaków opowiadał mi bowiem, że w korytarzu uniwersyteckim przyłapała komisya urządzająca wizyę lokalną dwu obiecujących młodzieńców, którzy po stronie ruskiej wiercili dziury w murze scyzorykami, aby potem można było twierdzić, że i Polacy strzelali w ich stronę. Nie udało się niestety!

I jak się dziwić społeczeństwu, którego przyszli duchowni wychowują się na polityce, zamiast na święceniach pobożnych i rozmyślaniach i lepiej umieją obchodzić się z pałką (zwaną ruskim paragrafem) lub browningiem, niż z brewiarzem lub kropidłem, a przyszłe żony i matki obrzucają kwiatami morderców i burzycieli spokoju publicznego!

W danym wypadku, jak i we wszystkich awanturach, wywołanych przez wojującą Ruś Ukrainę, mamy dwa rodzaje winowajców i czynnych i biernych. Ci pierwsi są tylko narzędziem w ręku drugich, na których spaść musi cała odpowiedzialność. I teraz posypią się kary na tych, którzy dopuścili się karygodnego czynu — moralni sprawcy, schowani za ich plecami z wrodzoną sobie odwagą, wyjdą jak zwykle bezkarni. Nigdzie może trafniej nie dałoby się zastosować zdania: O! rękę karaj, nie ślepy miecz!... Moralni sprawcy, potępieni zostaną wprawdzie przez opinię publiczną, ale to im wcale nie przeszkodzi, aby za kilka tygodni lub miesięcy wystąpić znowu, naturalnie skromnie i z oddali, boć mają zawsze gotowe zastępy, posłuszne ich skinieniu. Sprawcy czynni, być może, w kryminale odpokutują swą karygodną junackość, ale w każdym razie przez tamtych przekonani, że działają dla dobra swego narodu i jego spraw najżywotniejszych.

Wystąpienie lwowskiej Rady miejskiej w obronie powagi uniwersytetu i bezpieczeństwa jest zupełnie na miejscu, tak samo zupełnie trafnem jest żądanie młodzieży, aby inicyatorzy borby, którzy niestety piastują godność profesorów wszechnicy, złożyli natychmiast swe urzędy, gdyż postępowanie ich nie licuje z posłannictwem, jakie ma każdy nauczyciel i pedagog.

Oto garść smutnych uwag i refleksyi, jakie każdemu nasuwać się muszą z okazyi zajść na lwowskim uniwersytecie. Ukraińcy samochcąc opóźnili jego utworzenie, choć jestem pewny, że mimo, iż nauczeni już smutnem doświadczeniem, nieraz jeszcze spróbują dotychczasowej taktyki, która wprawdzie nie przyniosła spodziewanych owoców, ale dzięki tradycyjnemu przekręcaniu sprzymierzeńców i ich samych, przedstawia ich w oczach Europy, jako ciemiężonych męczenników. Tymczasem o ile wiemy i widzimy, są oni dzięki panującym stosunkom jedynie uprzywilejowaną w Galicyi narodowością, a z narzekaniem na „ruską krydę“ jest im bardzo dobrze, zwłaszcza, że nawet część Polaków, nie umiejących wglądnąć w sprawę, darzy ich swemi sympatyami, oni zaś odpłacają się nam czemś zupełnie przeciwnem i to nie tylko we wschodniej Galicyi, którą radziby zaanektować wyłącznie dla siebie, ale nawet tu w Krakowie, gdzie nie mogą nam przecież odmówić prawa obywatelstwa!

Niejednokrotnie nawołuje prasa i poszczególne zdrowo myślące i trzeźwo patrzące osobniki do zgodnego współdziałauia, gdyż tylko w ten sposób możemy oprzeć się nawale germańskiej, bijącej w nas od zachodu; niestety, Rusini, czy nie chcą, czy nie mogą tego zrozumieć. Jest to woda na młyn niemiecki, zwłaszcza pruski, jeśli się widzi powaśnionych, zdaje mi się więc, że raczej można tu myśleć o ich złej woli, a co za tem idzie, przypuszczenie, że Rakowski powiedział częściowo prawdę o owych markach, ktore choć niema jeszcze kanałów, taką obfitą falą płynąć miały od Berlina ku Pełtwi!...

Rozdrażnieniu polskiej młodzieży, która staje w obronie uniwersytetu i swych praw, dziwić się nie można. Tych wybitych kilkanaście, czy nawet kilkadziesiąt szyb jest tylko słabą odpowiedzią na bezczelną prowokacyę.

Dajmy jednak spokój tej niemiłej sprawie, do której i tak nieraz jeszcze trzeba będzie powrócić, mamy bowiem na głowie więcej spraw, zajmujących ogół. W pierwszym rzędzie stoi naturalnie obchód Grunwaldu, który, jak się zdaje, wypadnie bardzo okazale, pomimo krakań różnych kruków i archeologów. Co prawda uroczystość ta będzie częściowo spaczona, konsystorz biskupi odmówił bowiem pozwolenia na odprawienie mszy polowej, a pomnik nie będzie gotowy na czas i tymczasem główną figurę zastąpi tylko impregnowany odlew gipsowy, nie przeszkodziło to jednak komitetowi do nałożenia tak słonych cen za miejsca na trybunach, jakby to był nie gips, albo choćby mosiądz, ale złoto! „Veto“ kardynalskie także dla nas nie jest dziwnem, są bowiem ludzie na świecie, którzy, im bardziej się ich o coś prosi, tem twardziej się opierają, a podobno w tym wypadku nikt nawet nie prosił... Msza polowa byłaby się w każdym razie przyczyniła do uświetnienia tej narodowo-kościelnej uroczystości, w tym więc wypadku przyznać musimy, że książęco biskupi konsystorz źle zrobił, wydając ten zakaz, z czego mieli ochotę skorzystać nawet Maryawici i wysłać do Krakowa swych przedstawicieli, aby oni pod gołem niebem odprawili mszę w języku polskim. Do skutku to nie dojdzie, gdyby jednak doszło, byłoby bardzo niebezpiecznem dla nas ze stanowiska religijnego, dałoby bowiem precedens do jakichś aspiracyi, które na dobre wyjśćby nam nie mogły.

Komitet grunwaldzki pracuje w pocie czoła i oblicza już, ile potrzeba będzie puszek konserw, aby zaspokoić głodne żołądki kilku tysięcy uczestników, na ogół jednak nie myślę, aby koszta były tak ogromne, iżby potrzeba było nakładać aż tak wysokie ceny za wstęp na trybuny. Tego rodzaju obchody powinny być gratisowe, jeśli mają odnieść swój skutek, w tym wypadku tembardziej, skoro pomnik komitet nic nie kosztował.

Ponadto zajmuje nas wybór prezydenta miasta, który przypada na dzień 6 lipca, więc w chwili, gdy kronika jest już na maszynie. Proroczym uniesiony jednak duchem, choć nie wiem, co ojcowie postanowią, wielkim głosem obwieszczam przecież narodowi, że pan Leo nie ustąpi nikomu swego miejsca w pałacu Larysza i Wielopolskich, bo *pro primo* nie ma zamiaru wypuszczać z rąk władzy, skoro mu z nią dobrze, *secundo*, nie znajdzie się obecnie amatora na to stanowisko, dopóki nie ureguluje się spraw miejskich, które po rozszerzeniu Krakowa już dokonanem i jeszcze zamierzonem są bardzo a bardzo niewyraźne!

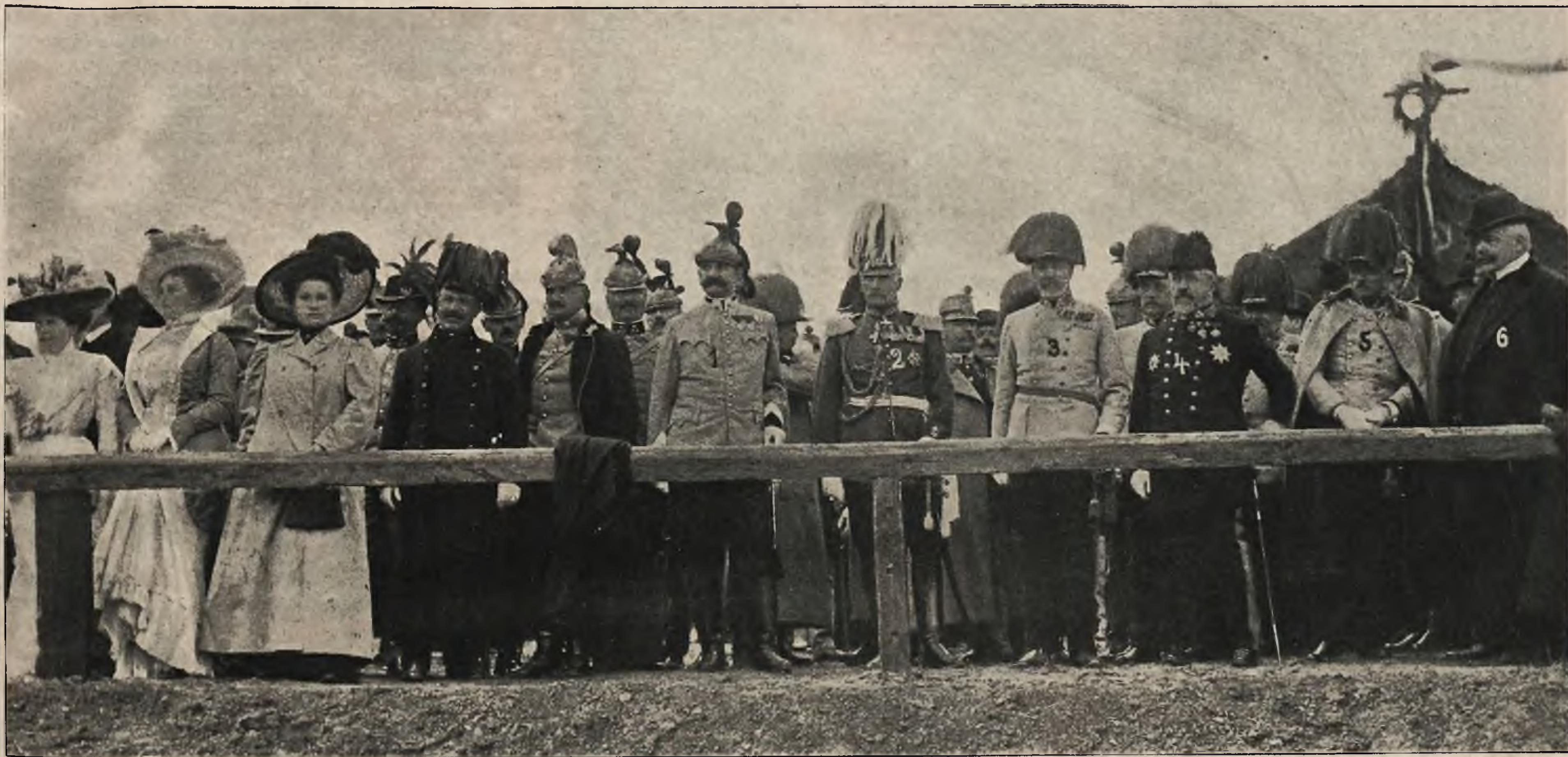
Coś tam przebąkują, że podobno mamy dostać i nowego wiceprezydenta w osobie pana Doboszyńskiego, w to jednak nie wierzę, wiem bowiem, że on ma paskudnego pecha do wszelakich wyborów. *Nowa Reforma* nie miałaby nic przeciw temu, ostatecznie i ja zgodziłbym się na to, wszystko mi bowiem jedno, kto zajmuje fotel wiceprezydenta, skoro wiem, że choćbym i chciał, to go nie zdobędę!

X.

Pięćdziesięcioletni jubileusz 13 pułku ułanów.

Piękną uroczystość obchodził w dniu 24 czerwca b. r. stacyonowany w Złoczowie trzynasty pułk ułanów. Pięćdziesiąt lat upłynęło od chwili, gdy bitwy pod Custozzą, kiedy to ci właśnie ułani przypomnieli światu najwspanialsze porywy bohaterstwa polskiego. Słynny atak pod komendą pułkownika Rodakowskiego na włoskie czworoboki zapisał się chlubnie w historyi, — zarówno austryaccy jak bodaj kilkanaście tysięcy konnicy naciera, a to nacierało niespełna sześciuset Krakusów. Dzięki im ocalała armia austryacka.

Z całego pułku pozostała zaledwie trzecia część, a gdy defilowała przed naczelnym wodzem, arcy-



Fot. Jaworski, Złoczów.

Pięćdziesięcioletni jubileusz 13 pułku ułanów: Goście, przypatrujący się popisom konnym; 1 emerytowany major Kornberger; 2. generał Longchamps; 3. komenderujący Schödler; 4. namiestnik dr. Bobrzyński; 5. generał Kolosvary; 6. marszałek hr. Badeni.

w czasie wojen włoskich z ochotników Krakusów utworzono pułk ułanów hrabiego Trani, w dniu zaś 24 czerwca przypadła czterdziestaczwarta rocznica i włoscy autorowie zapewniają, że w dziejach wojen, jakie toczyła Austrya z Włochami, takiego bohaterskiego ataku nie było. Włosi byli pewni, że księciem Albrechtem, ten zdjął z głowy kapelusz, a za jego przykładem wszyscy towarzyszący mu generałowie pozostali z odkrytemi głowami dopóty



Fot. Stadler, Kraków.

Zjazd koleżeński: Byli uczniowie krakowskiego seminaryum nauczycielskiego w 25 lat po maturze; w środku dyrektor ks. Bielenin, obok na lewo radca Żukowski, na prawo prof. Gramatyka.



Otwarcie nowego gmachu izby handlowej i przemysłowej we Lwowie: Minister handlu dr. Weisskirchner i namiestnik dr. Bobrzyński. Fot. F. Münz, Lwów.

dopóki nie przeszedł ostatni żołnierz. Ówcześni żołnierze rekrutowali się z okolic Krakowa, Bochni, Tarnowa i Nowego Sącza, oficerami byli sami prawie Polacy, między nimi dwaj dziś jeszcze żyjący: generał armii niemieckiej, Lwowianin Zygmunt Longchamps, który pod Custozzą uratował życie pułkownikowi Rodakowskiemu i syn prezydenta sądu tarnowskiego, Adolf Kornberger, emerytowany major, właściciel znanego zakładu wojskowo-naukowego w Krakowie.

Na uroczystość pułkową przybył ze Lwowa namiestnik, marszałek krajowy i komendant korpusu, zjechali także byli oficerowie pułku, między nimi obaj żyjący uczestnicy słynnej szarży z pod Custozzy, i żołnierze. Przywieziono również przechowany w wiedeńskim arsenale dawny sztandar pułkowy, który wówczas okrył się taką sławą. Między gośćmi znajdował się i syn bohatera, kapitan okrętowy Rodakowski, liczni generałowie, deputacye innych pułków, reprezentanci miejscowych władz i tłumnie zebrana publiczność.

W przeddzień jubileuszu odbyła się illuminacya odświętnie przystrojonego miasta, w sam dzień uroczystości odprawiono na podwórzu koszarowem mszę polową, po której obecny pułkownik Ursyn Pruszyński przemówił po polsku w gorących słowach do żołnierzy, wskazując im jako wzór tych, których pozostała garść przybyła na obchód. Po mszy defilował pułk przed weteranami z pod Custozzy, a potem weterani pod dowództwem em. majora Kornbergera przed komendantem korpusu i namiestnikiem. Po zasadzeniu pamiątkowego dębu, odczytaniu telegramów i wspólnej fotografii, zajęto miejsca u stołów, obficie zastawionych w kasynie oficerskiem, gdzie przechowują się obrazy W. Kossaka i innych artystów, unieśmiertelniające szarżę i pamiątki z owych czasów.

W czasie uczty wznoszono liczne toasty, między którymi szczególniej piękny był wygłoszony przez marszałka krajowego. hr. Badeniego, a zakończony okrzykiem na cześć pułku.

Po śniadaniu nastąpiły popisy oficerów i żołnierzy w jeździe konnej, aranżowane przez rotmistrza Sebalda, siostrzeńca pułkownika Rodakowskiego, wieczorem zaś odbył się uroczysty obiad galowy na stopięćdziesiąt osób, urządzony w pięknie udekorowanej ujeżdżalni, poczem przy dźwiękach muzyki wojskowej bawiono się ochoczo do białego rana.

Uczestnicy rozjechali się wreszcie, unosząc wspomnienie serdecznej gościnności ułanów, zgodnego pożycia ich z ludnością cywilną, bohaterstwa Polaków i żyjących uczestników tej wiekopomnej szarży i — jak słusznie zauważył jeden z dzienników — to przekonanie, że i dziś, w epoce armat szybkostrzelnych i karabinów maszynowych, tak, jak ongiś przed laty: „niema pana nad ułana!“

Zjazd koleżeński.

Bardzo pięknym jest zwyczaj, coraz troskliwiej u nas przestrzegany, że abituryenci jakiegoś zakładu



Fot. Jaworski, Złoczów.
Pięćdziesięcioletni jubileusz 13 pułku ułanów: Grono oficerów, oczekujących przybycia komendanta korpusu.



Pięćdziesięcioletni jubileusz 13 pułku ułanów: Grupa weteranów, uczestników bitwy pod Custozzą. Fot. Jaworski, Złoczów.

po pewnym przeciągu czasu zobowiązują się znów zjechać, aby wspomnieniami przeszłości orzeźwić i pokrzepić strudzony i skołatany umysł i w gronie kolegów nabrać dalszych sił do zawodowej pracy. Nigdzie tak silnie nie zadzierżgają się węzły przyjaźni, jak na ławie szkolnej, nić jej snuje się przez cały przeciąg życia i urywa zazwyczaj dopiero przy grobie... To też każdy uczestnik spieszy chętnie w oznaczonym terminie na miejsce zebrania, pewny, że spotka tam tych, którzy go zrozumieją, w razie potrzeby pomogą i poratują, że przypomni sobie młode chwile, kiedy to trosk prawie nie znał i tak różowe śnił sny o przyszłości...

Wraz z byłymi uczniami gromadzą się i ich kierownicy. Jest to dla nich rodzaj żniwa, z zadowoleniem mogą bowiem spoglądać na owoce swej ciężkiej pracy i bodaj taką mieć za nią nagrodę.

Taki właśnie zjazd koleżeński odbył się w Krakowie w dniu 28 czerwca b. r. Zgromadzili się byli abituryenci seminaryum nauczycielskiego, którzy w r. 1885 — więc przed ćwierć wiekiem — złożyli tutaj maturę. Z pomiędzy 53 przybyło na zjazd tylko 16, dziesięciu spoczęło już w grobie, reszta nie mogła wziąć udziału w pięknej uroczystości z powodu różnorodnych przeszkód. Z pomiędzy nauczycieli zjawili się: były katecheta, a obecny dyrektor seminaryum ks. prałat Bielenin, emerytowany profesor, radca szkolny Żukowski i profesor rysunków, artysta malarz Antoni Gramatyka. Inni albo już nie żyją, albo usprawiedliwili swą nieobecność.

Illustracya nasza przedstawia grono uczestników zjazdu z profesorami pośrodku.

Koło polskie w Wiedniu.

(Do illustracyi na str. 8 i 9).

Reprezentacya polska w Wiedniu ma obecnie przed sobą bardzo trudne i bardzo odpowiedzialne zadanie do rozwiązania. Chodzi mianowicie o sprawę budowy kanałów, uchwalonej i sankcyonowanej jeszcze 1901 r. za czasów gabinetu dra Koerbera. Jak wiadomo, wystąpił wówczas rząd z wielkim programem inwestycyjnym, obejmującym przedewszystkiem budowę kanału Dunaj-Odra-Wisła oraz Wisła-San-Dniestr. Wszyscy ekonomiści uznali wówczas olbrzymie korzyści, jakie kanały te musiałyby przynieść państwu a przedewszystkiem Galicyi. Wobec zaś uchwalenia formalnej ustawy w tej sprawie i sankcyonowania jej przez cesarza, zdawało się, iż budowa w najbliższym czasie zostanie podjęta.



Pięćdziesięcioletni jubileusz 13 pułku ułanów: Sztandar 13 pułku ułanów. Obok pieszo ułan w dawnym mundurze tego pułku i jeden z weteranów. (Fot. Jaworski, Złoczów).



Napad Rusinów na uniwersytet: Komisarz policyi Stanisław Tauer, który aresztował ekscedentów ruskich.



Pięćdziesięcioletni jubileusz 13 pułku ułanów: Grupa ogólna gości; 1. kapitan marynarki Rodakowski; 2. generał Longchamps; 3. namiestnik dr. Bobrzyński; 4. komenderujący korpusu generał Schödler; 5. marszałek hr. Badeni; 6. generał bar. Weber; 7. dyr. Żaba; 8. generał Kolosvary; 9. generał Iskierski; 10. hr. Konarski.

Tymczasem zapał rządu dla kanałów począł powoli gasnąć, wynajdywano nieustannie nowe trudności i nowe przeszkody, które miały usprawiedliwić wstrzymanie robót. Obecnie rząd całkiem jawnie oświadcza, że jest przeciwny wykonaniu ustawy o budowie kanałów, raz dlatego, że nie przewiduje wielkiej ich rentowności, a powtóre dlatego, że rzeczywisty koszt budowy przewyższy bardzo znacznie preliminowaną pierwotnie sumę, na co skarb państwa nie posiada obecnie funduszów. Także Izba panów



Dramat miłosny: Zamordowana śpiewaczka Anna Sutter.

oświadcza się przeciw budowie kanałów. Celem zaś wynagrodzenia Galicyi krzywdy, jakąby dla niej było niewątpliwie zarzucenie budowy kanałów, ofiarowuje rząd pewną sumę na inne cele krajowe.

Stanowisko rządu spotkało się u przeważnej części członków reprezentacyi naszej w Wiedniu z stanowczą opozycyą; Koło polskie prawie jednomyślnie domaga się wykonania uchwalonej i sankcyonowanej ustawy i zapowiada, że w razie, gdyby rząd temu postulatowi kraju odmówił, przejdzie do opozycyi, co oczywiście zmusiłoby cały gabinet bar. Bienertha do ustąpienia.

To męskie i dzielne wystąpienie Koła polskiego w obronie najżywotniejszych interesów ekonomicznych Galicyi, wywołało w całym kraju jak najżywsze zadowolenie i uznanie dla Koła. Niepodobna bowiem pozwolić na to, by rząd lekceważył uchwalone przez parlament ustawy, by dalej lekceważył interesa Galicyi i traktował nasz kraj po macoszemu. Koło polskie, o ile wytrwa na swem obecnem stanowisku, o ile nie dopuści do pokrzywdzenia kraju, może być pewne i wdzięczności i poparcia ogółu mieszkańców Galicyi.

Potworna zbrodnia.

(Do illustracyi na str. 10.)

Wśród sensacyjnych zbrodni, jakie w ostatnich czasach zajmowały opinię publiczną, najbardziej może interesujący jest wypadek morderstwa, popełnionego przez Portera Charletona na osobie swej żony, znanej artystki amerykańskiej Maryi Scott. Charleton zamordował żonę swą w czasie pobytu we Włoszech i zwłoki jej zapakował do wielkiego kufra, a następnie wrzucił do jeziora Como.

W kilka dni później rybacy wyłowili kufer ten, i dali znać władzy o zwłokach, jakie były w jego wnętrzu ukryte. Śledztwo stwierdziło, iż są to zwłoki Maryi Scott, stwierdziło też, że mordercą jej był mąż.

Władze włoskie rozpisały za mordercą listy gończe. Udało się go też przed kilku dniami ująć w Ameryce, dokąd zbrodniarz umknął po spełnieniu potwornego czynu.

Wspólnikiem jego miał być Konstanty Ispalatow z Petersburga, którego również ujęto.



Otwarcie nowego gmachu Izby handlowej i przemysłowej we Lwowie: Minister Galicyi dr. Dulęba (X).

Rozwiązanie zagadek z Nr. 26.

Szarada: Maskarada.

Szarada: Komoda.

Trójkąt magiczny:

R a k o w s k i
A m e r y k a
K r a k ó w
O p a w a
W i n o
S a n
K a
I

Logogryf:

E w a
C y n a
K a ś k a
S a c h s
L i s
A g a
M n i c h
K o w n o
W a k a r
E r a
B a r
B a k o n
K r o w a
R ó w n o
Ś l i w a
K r z e s ł o

Zadanie do przestawienia: Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie.

Zagadka: Grób, bórg,

Rebus: Kto chce ratować żebraka, to niech to spełni w ukryciu, a za to nie szuka w rozgłosie nagrody.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: A. Lechówna Kraków, K. Osadziński Krosno, W. Ossowski Warszawa, A. Bilński Tarnopol, M. Sidzińska Jasło, O. Górkowa Chyrów, K. Lipecki Nowy Sącz, J. Gramski Kołomyja, K. Galinski Rzeszów, K. Radoszewski Kraków, M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, J. Łopatkiewicz Lwów, G. Zapłatalska Sanok, J. Kuryło Sanok, W. Petlewicz Sambor, J. Zachara Kraków, M. Wyka Janów, H. Bogacki Warszawa, K. Lipszyc Łódź, M. Więckowska Sanok, W. Ostrowski Warszawa, K. Świrski Sandomierz, A. Kalinowska Płock, W. Thun Kalisz, J. Krzepiński Radom, W. Potocka Lwów, A. Karczmarski Jaworów, S. Sygnarska Kraków, A. Gralewski Kraków, S. Lihtig Rzeszów, A. Wang Łódź, M. Krawecka Rzeszów, K. Rogoziński Jasło, S. Cywiński Piotrków, J. Lindenbaum Jarosław, K. Nowaczyński Przemyśl, H. Broniowski Kraków, A. Frass Kraków, M. Schatz Kraków, B. Kurz Wiedeń, S. Grochowski Łańcut, J. Orzechowski Sambor, J. Bernstein Jasło, Z. Ogibinski Lwów, K. Muszyński Krosno, J. Nowacki Janów, D. Papieska Stanisławów, R. Staniszewski Kołomyja, K. Balicki Kraków, J. Knapik Rzeszów, M. Chrynowska Płock, R. Zygmuntowski Płock, J. Harasymowicz Lwów, H. Krokowski Jasło, M. Krajewska Stary Sącz, R. Christof Stary Sącz, K. Lewicka Radomyśl, J. Radoń Lwów, K. Ostmann Stanisławów, M. Idzikowska Lwów, J. Ortyński Stanisławów, M. Medyńska Czortków, Z. Blaim Sanok, L. Tichy Sanok, M. Bergstein Rzeszów, Ch. Wang Krosno, J. Eugelberg Dynów, Z. Ciechanowska Stary Sambor, Henio Ogiński i Wacio Kilicki Warszawa, M. Turecka Tarnopol, J. Menczak Radymno, S. Matwij Bochnia, K. Kaim Kraków, K. Fuchs Czeremchów, M. Zabierzewska Kraków, J. Badura Rożdzień, S. Faliszewski Baligród.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **J. Knapik, Rzeszów.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Z półek księgarskich.

Wydawnictwo dzieł Ludowych.

W roku bieżącym przypada wielkiej doniosłości rocznica. Cała Polska gotuje się do godnego obchodu tej uroczystości. Wszędzie czynią starania, by uświetnić pięćsetlecie chwili, kiedy potęga krzyżacka złamana padła pod mieczami zbratanych narodów — Polski i Litwy. I słusznie się dzieje. Dzień 15. lipca 1410 r., jako dzień pobicia Krzyżaków pod Grunwaldem i Tannenbergiem — to jedna z najważniejszych dat historyi naszej. W dniu tym wstrzymano na 400 lat napór germański, zdążający ku wschodowi.

Stało się to zaś dzięki najlepszej i najzasłużeńszej z królowych polskich: Jadwidze. Mimo skłonności ku Wilhelmowi austryackiemu, robiąc z serca ofiarę, oddała rękę Jagielle. Ważny to krok, gdyż równo z nim począł się drugi okres dziejów naszego narodu — czas największej potęgi państwa polskiego.

Polska, Litwa, Ruś, złączone pod jednem berłem, zajęły w rzędzie mocarstw ówczesnych poważne stanowisko. A wszystko dzięki Jagielle i Jadwidze.

Słuszna więc przeto, by przy obchodzie rocznicy Grunwaldzkiej wspomnieć i obojgu królewskich małżonkach. Tą myślą kierowało się Wydawnictwo Dzieł Ludowych w Mikołowie, wydając piękną tablicę pamiątkową. Wykonana w ślicznym dwubarwnym druku, mieści „Dni pamiątkowe Unii Polski z Litwą i pięćsetnej rocznicy pogromu Krzyżaków pod Grunwaldem“. Zdobią ją wizerunki Jadwigi i Jagiełły, a w obwódce herby krajów złączonych i głównych miast ich Krakowa, Poznania, Warszawy, oraz herb Uniwersytetu Jagiellońskiego i zakonu Krzyżaków.

Oprócz tego wyszły osobno w tym samym nakładzie barwnie wykonane podobizny Jagiełły i Jadwigi. Na tle złoconem w otoczeniu herbów krain zbratanych oraz insygni królewskich widzimy oboje królestwa w całej okazałości majestatu. Obrazki te naciągnięte na tekturę, gotowe są do zawieszenia na ścianie.

Sądząc, że wydawnictwa te przyczynią się do uświetnienia uroczystości Grunwaldzkiej, polecamy je szczególnie zarządom Towarzystw i komitetom urządzającym uroczystości, tem bardziej, że cena tablicy pamiątkowej lub obrazka Jagiełły albo Jadwigi wynosi tylko 25 hal. za egz. — 10 egz. 1.80 kor. 100 egz. 14.50 kor. — 500 egz. 60 kor. — 1000 egz. 180 kor.

Rozszerzone wśród ludu niech przypomną wielką chwilę dziejową skojarzenia Polski i Litwy „w imię miłości braterskiej“ i dla dobra obu narodów, — jak mówi akt Unii Horodelskiej.

Fryderyk Mauzens.

PARYSKIE GADY.

15

Jeden ze słuchaczów Panajona zauważył:

— Dwadzieścia kroków przestrzeni nie świadczy o podstawianiu się...

— To nic nie znaczy! — odparł fałszywy Australczyk. — Na takiej przestrzeni przeciwnik mógł mnie trafić i aby uniknąć tego musiałbym strzelać pierwszy zaraz po sygnale i raniłbym go ciężko... Nigdybym nie mógł sobie tego darować... Mimo wszystko młodzieniec ten jest bardzo sympatyczny...

Rozległy się przytłumione śmiechy i ironiczne zdania.

— To bardzo piękne!

— Podobna przezorność przynosi tylko zaszczyt.

— A więc starał się pan oddzielić się od swego przeciwnika jak największą przestrzenią, by go nie trafić przypadkiem?

— Lecz czy jest pan pewny, że trafiłby go pan zaraz po komendzie? Trzeba być bardzo wprawnym, by strzelać dobrze bez mierzenia.

Panajon spojrzał na tego, kto wątpił o jego zręczności i rzekł spokojnie:

— Naturalnie! Mam też dobre oczy.

I odsuwając się od zgrupowanych dokoła siebie ludzi, podszedł do leżącego na gazonie pudełka. Nachylił się, otworzył je i wyjął z niego jeden z pistoletów, kupionych poprzedniego dnia do pojedynku. Były nabite. Pistolety, użyte do walki należały do Piotra Cartelegue'a, gdyż przy losowaniu wyciągnięto jego nazwisko.

— Proszę panów! — odezwał się Panajon.

Spojrzał dokoła po welodromie i rzekł:

— Widzą panowie nad ławkami tę wielką tablicę, na której wypisano właśnie „automobile Cartelegue"? Co panowie powiedzą o kropce nad *i*? Zdaje mi się, że mniejszą jest, niż człowiek, a więcej jest do niej, niż dwadzieścia kroków?

Rzeczywiście w odległości stu metrów znajdował się wielki afisz, na którym kropka nad *i* nie była większą od pięciofrankowej monety. Była zaledwie widoczną. Panajon nie skończył jeszcze mówić, gdy jednocześnie podniósł szybko rękę i nacisnął kurek. Ruch ten trwał zaledwie mgnienie oka. Natychmiast rozległ się strzał.

Jednocześnie wszyscy krzyknęli zdumieni. Wiele osób przybyłych z lornetkami zwróciło je zaraz na afisz i przekonało się, że kropka nad i została trafiona w sam środek. Reporterzy pobiegli zaraz z nastawionymi aparatami, by uwiecznić w swych dziennikach ten sławny przez to punkt. Wszyscy go podziwiali. Garrigue i markiz zamienili z sobą spojrzenia i podeszli szybko do swego klijenta. Lornetki przechodziły z rąk do rąk przy głośnych objawach zachwytu.

— Nie zawiódł!

— W sam środek!

— Nawet sławny Buffalo, od którego nazwano ten welodrom, nie strzela lepiej.

— Nie lepiej? Nie tak dobrze.

— W rękach swych miał życie Cartelegue'a.

— Do licha! Mógł wybrać sobie na nim miejsce, gdzie trafić, między oczy, albo w serce.

— Tak dobrze na odległość dwustu metrów, jak i trzydziestu kroków.

— I obrócony plecami, mierząc przy pomocy lustra, jak to widziałem w music-hall, gdzie popisywał się jakiś amerykański strzelec.

— Cartelegue będzie wściekły, gdy się dowie, że przeciwnik jego chybił umyślnie.

— Wściekły lub też wzruszony tem.

Tymczasem król stu dwudziestu koni nie domyślając się nawet, co się dzieje jeszcze w welodromie, wyszedł z niego w towarzystwie Lewisa Jacksona, Joego Smitha i swych świadków, Maurycego de Terrade i jednego ze swych przyjaciół, znanego sportsmena awiacyjnego. Amerykanin opierał się na ramieniu swego sekretarza; głowę miał opasaną bandażem.

— Mój drogi — rzekł awiator do Piotra — wybaczysz mi, lecz muszę cię pożegnać. Mam rendez-vous w Issy-les Moulineaux... Uciekam... Do widzenia...

I wsiadł do swego samochodu.

— Proszę poczekać na mnie chwilkę — rzekł również i Maurycy — mam do powiedzenia dwa tylko słowa pewnej osobie, która oczekuje z drugiej strony welodromu... Zaraz powrócę...

Inżynier pobiegł szybko dokoła ogrodzenia i skręcił na ulicę Villiers, gdzie stała dorożka. Kamilla ukryła się w tym skromnym pojeździe. Panna de Lagunan umierała z obawy, gdy się dowiedziała o zajściu między Piotrem a Australczykiem. Drżała o życie swego przyjaciela. Trwoga jej jednak nie zabijała odwagi. Młoda panna pragnęła być obecną przy walce, lub przynajmniej znajdować się w pobliżu miejsca spotkania. Chciała być przy Piotrze, gdyby on został śmiertelnie raniony.

Baronowa uznała to za śmieszną romantyczną fantazyę i kazała córce pozostać w domu.

Kamilla wiedząc, że woli matki nie przełamie, nie nalegała, lecz w dzień pojedynku wymknęła się z mieszkania, prosząc przedtem telefonicznie Maurycego, by przyszedł na ulicę Villiers oznajmić jej o wyniku walki.

„Jak ona go kocha", myślał ze smutkiem inżynier, spiesząc się do dorożki, w której oknie ujrzał bladą z trwogi swą ukochaną.

Zrobił uspokajający ruch ręką, po którym jasna głowa Kamilli zniknęła. Młoda panna wybuchła płaczem. Radość po tem długiem, męczącem czekaniu była zbyt gwałtowna i silna, by mogła nad nią zapanować.

Maurycy zbliżył się do drzwiczek. Kamilla cała zapłakana wyciągnęła do niego ręce.

— Nic mu się nie stało?... — wyszeptała.

— Nic!

— A jego przeciwnikowi?

— Również nic!

— Ach, mój przyjacielu!

W czasie tej rozmowy nie wypuszczała z swych rąk dłoni Maurycego. Inżynier bardzo tem zmieszany, odsunął się cokolwiek, mówiąc:

— A teraz pójdę uprzedzić Piotra, iż narzeczona jego jest już uspokojona...

Radość dodaje odwagi. Kamilla czuła się obecnie tak szczęśliwą, iż uśmiechając się wśród łez, ośmieliła się zaprzeczyć:

— Ależ ja nie jestem narzeczoną Piotra.

Maurycemu zdawało się, że źle słyszy.

— Chyba — mówiła dalej młoda panna — tylko w oczach świata... Uznaliśmy razem z Piotrem i postanowiliśmy wyznać całą prawdę swym rodzinom, że nasza wzajemna przyjaźń jest bardzo głęboka i stała, lecz niema w niej nawet cienia miłości...

Serce Maurycego zaczęło bić silnie.

— Ach! — szepnął — nigdy tego nie przypuszczałem.

Zdanie to, które wymówił bezwiednie, aby powiedzieć cośkolwiek, nie miało żadnego znaczenia, nadawało mu je dopiero drżenie głosu inżyniera. Teraz i serce Kamilli zaczęło bić nie mniej silnie. Maurycy de Terrade był właśnie tym, czyje imię ukrywała przed Piotrem, nie wiedząc, czy człowiek tak zimny i tak przejęty swoimi obowiązkami, odczuje jej miłość. I oto w chwili tej inżynier mówiąc do niej, drży ze wzruszenia, a twarz jego, zazwyczaj obojętna, wyraża jakieś niespodziewane wrażenia... Czyż on kocha?... Ta druga radość, która nastąpiła zaraz po pierwszej, omal nie przyprawiła Kamilli o zemdlenie. Młoda panna opanowała się jednak i z doznanego szczęścia czerpiąc nową odwagę, rzekła:

— Gdy w odpowiedniej chwili będę prosiła swych rodziców, by wyrzekli się myśli o ułożonym dla mnie związku, zapytają się mnie, czy wybrałam sobie kogo innego... Odpowiem im, że tak...

Śledziła wyraz twarzy Maurycego, która zmarszczyła się boleśnie. Młody inżynier nie mógł owładnąć sobą wobec tych słów, które dotykały jego najtajniejszych uczuć. Kamilla nie miała już obecnie żadnych wątpliwości co do miłości, jaką wzbudzała.

— I dodam im, że za męża chcę mieć inżyniera... — ciągnęła dalej.

— Inżyniera? — jąkał się Maurycy.

— Tak... Jak pan... A naprzykład dlaczegoby nawet nie pana samego... o ileby to nie było panu bardzo nieprzyjemne... Co pan na to powie?...

Ton Kamilli był żartobliwy, głos jednak okazywał, jak bardzo i ona jest wzruszoną. Maurycy schwycił za drzwiczki dorożki. Zdawało mu się, że ziemia usuwa mu się z pod nóg. Zamknął oczy. Z pod powiek wypłynęły mu łzy i potoczyły się po twarzy.

— Śnię chyba... — szeptał. — Och! lękam się obudzić z tego snu.

Tymczasem Piotr, Joe Smith i miliarder rozmawiając, czekali na inżyniera.

— Rodzice moi — mówił Piotr — dzisiaj zapewne otrzymali list o moim powrocie... Są już z pewnością w drodze do Francyi... Z dzienników włoskich dowiedzą się prawdopodobnie o mym pojedynku i wyniku.

— Bardzo to ich zmartwi... — rzekł Lewis Jackson.

— Ale będą zarazem spokojni... — dodał Joe Smith. — Podróż ta wypadła w samą porę...

— *Well!* — potwierdził miliarder. — Wszystko więc jest jak najlepiej. Do tej pory ucierpiałem tylko ja jeden.

Roześmiał się krótko i mówił dalej:

— Przeciwnik mój nie chciał, jak Turner, zgodzić się na broń... Wolał roztropnie wjechać na mnie samochodem...

— Wuj ciągle utrzymuje — zapytał Piotr — że ten wypadek nie jest wypadkiem tylko?...

— Mniejsza z tem!... Nie jestem bardzo tem przejęty!... Cóż może znaczyć zgnieciona ręka i dwie rany na głowie? Byłem ubezwładniony przez wczorajszy dzień; dzisiaj rano... wstałem z łóżka tylko dlatego, by być tutaj. Obecnie jednak odzyskałem już swe siły i mogę dalej prowadzić badanie... *Well!* Ponieważ wspomniałem o badaniu, powiem zaraz, co postanowiłem... Podzielimy swe zajęcia...

— W jaki sposób? — zdziwił się Piotr.

— W sposób bardzo prosty i logiczny. Ponieważ ja prowadzę sposób życia bardzo skromny, nie mogę się mieszać do ludzi światowych... Nie będą mnie uważali za swego... A przytem przedstawiłem się im jako biedak, trudnoby więc mi było dla pozyskania ich szacunku robić z siebie znowu bogacza...

— Istotnie.

— Ja przeto będę prowadził śledztwo na poczcie, w hotelach, po stróżach, wogóle tam, gdzie nie potrzeba kłaść na siebie obowiązkowo żakietu popołudniu, a fraka lub smokinga wieczorem... Ty, Piotrze, udasz się na ulicę Laugier, by zobaczyć pannę Dubois..

— Kiedy mam tam iść?... — zapytał Piotr, błędnąc.

— *Well!* Natychmiast. Róbmy wszystko po amerykańsku. Co zaś do Smitha, to przedstawię go Australczykowi... Postara się on wejść z nim w bliższe stosunki i wyciągnąć z niego wszystko.

— Jakto? — zdziwił się Piotr. — Poinformował wuj pana Smitha o wszystkiem?

— Tak — odparł Julian Maixent. — Dzisiaj

rano. Pomoc jego wcale nie będzie zbyteczna, jeżeli chcemy rozwikłać tę sprawę, która z dnia na dzień gmatwa się coraz bardziej. A więc Smith, przedstawię pana pod pańskiem nazwiskiem jako bogatego Amerykanina, który jeździ dla swej przyjemności.

— Dobrze — odparł sekretarz.

— Co zaś do wydatków, to daję panu carte blanche.

— *All right!*

— A co pan sam myśli o tej sprawie? — zapytał Smitha Piotr.

— Sądzę, że jest bardzo ekscytującą.

— Chce powiedzieć *very exciting* — dodał Julian Maixent — czego nie można dosłownie przetłómaczyć na żaden język. *Well:* Smith! *Hallo!* mój chłopcze! Ponieważ jest pan *exciting*, niech pan szuka gorliwie i wpadnie na jaki dobry ślad lub choćby wskazówkę... Za pierwszą ciekawą wiadomość, jaką nam pan przyniesie, otrzyma pan sto tysięcy dolarów.

— *All right!* — powtórzył flegmatycznie Smith.

Rozmawiający zamilkli nagle. W wyjściu ukazał się Maksym Duret i Raul de Lagunan.

— Ach! Szukamy panów! — zawołał prezes. — Chcieliśmy wyrazić panu swą radość, że wszystko skończyło się szczęśliwie.

Ścisnął przytem czule ręce Piotra. Baron czynił to samo. Potem zajęli się Piotrem Maixent.

— Jakże się cieszę bardzo, że i pana wreszcie widzę na nogach — odezwał się prezes.

— Wiem, że przychodził pan kilkakrotnie do hotelu dowiadywać się o me zdrowie — odrzekł Amerykanin. — Serdecznie dziękuję...

— Pożerał mnie niepokój... — mówił dalej wuj Łucyi. Trzeba było trafu, że to ja właśnie znajdowałem się w tym samochodzie!... W dodatku wszystkiego szofer utrzymuje, że gdybym ja nie zrobił tego bezwiednego ruchu i nie schwycił go za rękę, niby się nie było stało.

— Nie mówmy o tem — odparł niewzruszony Lewis Jackson. — *Well!* — zwrócił się do Piotra. — Twój przyjaciel Terrade nie powraca. Czy będziemy tutaj czekali na niego?

— Ja jadę — odparł młody człowiek.

— *All right!* Znajdziesz mnie w hotelu koło piątej godziny.

Piotr siadł do samochodu i podał szoferowi po cichu adres pralni Lambert.

— Przepraszam panów — odezwał się Maksym Duret — lecz muszę rozmówić się z Karolem Turnerem o pewnem wielkiem przedsiębiorstwie, o którem mi wspominał... Idę go poszukać...

Prezes, baron i obydwaj Amerykanie wrócili do welodromu. Gdy wchodzili bocznem przejściem na tor, rozległ się nagle strzał i kilka osób pobiegło naprzód. Był to przeciwnik Piotra Cartelegue'a i dawał właśnie dowody swej celności, a reporterzy śpieszyli odfotografować przestrzeloną kropkę nad i.

Maksym Duret zatrzymał się wraz z swymi towarzyszami, którzy pytali się wzajemnie.

— Co to jest?

W tej samej prawie chwili ujrzeli, iż z grupy osób wysuwa się Karol Turner i idzie naprzeciw nich. Istotnie fałszywy Australczyk chciał już wreszcie uwolnić się od zawodowego natręctwa dziennikarzy i ciekawości innych widzów. Świadkowie jego zabrali pudełko z pistoletami, towarzysząc mu. Reporterzy, zachęceni łatwością, z jaką dawał im poprzednio wyjaśnienia, okrążali go w dalszym ciągu, idąc nawet przed nim tyłem.

— Panowie! chwilę spokoju! — prosił Panajon. — Czyż nie dosyć już powiedziałem? Jesteście panowie nienasyceni!

Uśmiechając się, starał się uwolnić z rąk, które go przytrzymywały z tyłu, lub zagradzały z przodu. Naraz przed Australczykiem zjawił się jakiś nowy, wysoki mężczyzna, o chudej, wygolonej twarzy i dziwnym wyrazie. Miał on na sobie nizki, płaski kapelusz, z tyłu zapinany kołnierzyk, jaki noszą duchowni i długie aż do kostek palto ciemno-zielonego koloru.

— *Ach!* — zaczął gardłowym głosem o fałszywym akcencie. — Jestem korespondentem angielskim. Pan, jako mój rodak, nie może mi odmówić dania kilku szczegółów!

I wymienił przytem nazwę pewnego wielkiego dziennika angielskiego.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Zagadki do nagrody.

Trójkąt magiczny.

Ułożył M. Tristis, Lwów.

Kwadraty i kreski zastąpić w ten sposób literami, aby utworzyły szereg wyrazów o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy podadzą nazwisko zmarłego niedawno polskiego powieściopisarza.

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz. 2. Imię i nazwisko polskiego poety. 3. Nazwisko poety, przyjaciela Mickiewicza. 4. Mityczna prządka. 5. Utwór Słowackiego. 6. Znana w starożytności kraina w Azyi Mniejszej. 7. Powieść Sienkiewicza. 8. Rzeka w Austryi. 9. Pytajnik. 10. Spółgłoska.

Łamigłówka.

Ułożył St. Faliszewski, Baligród.

Z podanych zgłosek ułożyć szereg wyrazów. Początkowe i końcowe ich litery, czytane z góry na dół, utworzą nazwiska dwu miejscowości, znanych z biblii.

Bo, e, e, eu, ger, guz, jan, lu, mo, re, ska, tha, to, tun, wi, zart.

Znaczenie wyrazów: 1. Miasteczko na Bukowinie. 2. Litera grecka. 3. Mieszkaniec Azyi Północnej. 4. Miasteczko w Galicyi. 5. Miasto w Czechach. 6. Rzeka i departament we Francyi. 7. Słynny kompozytor niemiecki.

Zgłoskówka przysłowiowa.

Ułożył A. Rotyński, Wola Michowa.

Z podanych zgłosek ułożyć znane polskie przysłowie:

do, do, ga, i, jak, le, ła, mie, nia, nie, nie, przy, smo, sła, sza, tak, ty, wa.

Łamigłówka.

Ułożył St. Kowalówka, Kraków.

Podane wyrazy tak uzupełnić, aby głoski, umieszczone w miejsce kresek, podały nam zdarzenie, które zajęło w ubiegłym tygodniu opinię publiczną.

— ra
— ar
ew —
pa —
— on
— fa
ki —
kł —
— ak
— le
be —
ra —
— za
— ak
kr —
ko —
— ił
— nn
li —

Zagadka przysłowiowa.

Ułożył Kamil Kaim, Kraków.

Z każdego z powyższych przysłowi wyjąć po jednej zgłosce i ułożyć z nich nowe przysłowie:

1). Niema złego, coby na dobre nie wyszło.

2). Miłość o głodzie sprzykrzy się i wojewodzie.

3). Każdy wiek ma swoje prawa.

4). Złe towarzystwa psują dobre obyczaje.

5). Nim słońce zejdzie, rosa oczy wyje.
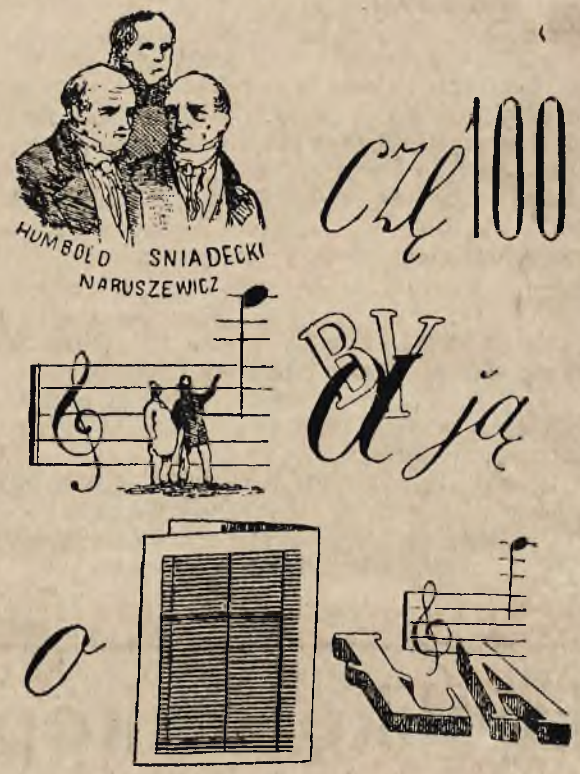
6). Kto doje, dopije, ten w rozum nic tyje.

Szarada.

Ułożyła M. Sulima, Skawina.

Pierwsze i trzecie zwierzęta domowe,
Co przywykają łatwo do człowieka,
Znają go dobrze, postać, nawet mowę.
Drugie i trzecie słyszymy zdaleka,
Na wsi najczęściej, z podwórka, czy z drogi
Znak, że gość miły jedzie w nasze progi.
Całość jest drzewa i roślin podporą,
Ludzie ją często na lekarstwo biorą.

REBUS.



Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Gabryeli Zapolskiej*: **Szaleństwo.** Powieść.







Właściciel i wydawca: Stanisław Lipiński. Za Redakcyę odpowiedzialny: Wacław Lipiński. Klisze z własnego zakładu Drukiem D. E. Friedleina w Krakowie